

odqtośy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok I.

Łódź, 6 kwietnia 1958 r.

Cena 1 zł

nr

6

W numerze:

WSZYSTKO DLA PAŃ • KWIATY
POLSKIE • WRÓG PENSJONA-
REK • WIEDŃ W NOCY • NA
TROPACH GWIAZD I GWIAZDE-
CZEK • DOŁA CZŁOWIECZA •
CZYSTA PIEŚŃ I BRUDNA PLEŚŃ
• KTO ZABIŁ HR. CIANO? • DZI-
KIE WICE W DZIKOWICACH •
ROZRYWKI UMYSŁOWE

ADAPTACJA POWIEŚCI ANDRZEJA-OSTOJI

aspazja

ILUSTR. J.BIS-GRATKOWSKI



Astronautyczna powieść Andrzeja Ostoji otrzymała I nagrodę na konkursie literackim „Dookoła świata” w 1956 r. Pod koniec bieżącego roku ukaze się ona drukiem, nakładem Łódzkiego Wydawnictwa. Dokonałmy adaptacji tej powieści, będziemy ją publikować w obszernych fragmentach, bogato ilustrując.

Red.

Staliśmy na specjalnie zbudowanym wzniesieniu z lekkich rurek aluminiowych, które z dala wyglądały jak siatka pajęczna. Za nami wznosił się srebrny kadłub Głorii — stumetrowej wysokości. Ubrani byliśmy w skafandry kosmiczne ze srebrzystego materiału, zwanego „stallorem”. Materiał ten posiadał elastyczność jedwabiu, miękkość aksamitu, moc wyborowej stali; odporny był na promieniowanie i nie przepuszczał chłodu. Helmy wraz z ankenami mieliśmy odrzucone do tyłu. Nad głowami naszymi powiewał wielki, błękitny sztandar Ziemi. Na błękitnym tle jarzyło się pięć złotych gwiazd symbolizujących pięć kontynentów. Na szczycie Głorii unosił się inny sztandar — był on zupełnie zielony, jak Ziemia jest zielona, i odbijały się na nim srebrne koła planet: Merkurego, Wenus, Ziemi, Jowisza, Saturna, Urana, Neptuna i Plutona — nie było tylko odbicia Marsa. Wszędzie już człowiek dotarł i cały system planetarny zbadał i opanował; wszędzie krzewiła się bujna kultura człowieka. Tylko o Marsie nie było wiadomo pewnego. Ludzie już osiemnaście razy docierali doń, ale nigdy nie powracali.



Między nami, na naszym podium, pośrodku, siedział na purpurowym fotelu siwy człowiek o twarzy patrycjusza rzymskiego, w oślepiąco białej todzie z purpurowym szlakiem. Na szyi miał zawieszony złoty łańcuch Władzy, zakończony pięcioma brylantowymi gwiazdami kontynentów; na jego siwej głowie spoczywał wieniec ze złotych, laurowych liści. Był to doktor profesor Kacper Callado, Prezydent Unii Światowej i Naczelnik Ziemi.

Powstał ze swego fotela i podniósł rękę do góry. Na wielkim placu zapanowała zupełna cisza; ucichli ludzie i maszyny.

— Niespożyta w swej dociekliwości i w swym badawczym uporze Ludzkość — zaczął — wysłała o swoją następną ekspedycję na Marsa. Uważamy, że tajemnica tej planety musi być wreszcie wyjaśniona. Wprost nie do wiary jest ten fakt, że osiemnaście naszych wypraw nie powróciło z niego. Dziś mija akurat trzysta lat, odkąd pierwsza ludzka rakietka wyleciała z Ziemi na Marsa... aby nie powrócić. Nie wiemy o ludziach z tych rakiet — nic. Nie otrzymaliśmy stamtąd żadnego znaku, nie doszedł nas żaden sygnał. Tylko zawsze śmiertelne milczenie — i tajemnica. Zgineli tam nasi najlepsi ludzie — sławni astronomi, badacze i odkrywcy planetarni. Niektóre nasze rakietki oblatywały Marsa z niewielkiej odległości, ale nie ponad to, co zbadały już teleskopy i aparaty — nie przywoziły. Panuje tam kompletny bezruch i martwota. Cóż więc się dzieje, że z tej planety nie powracają ani żywi, ani martwi?



Admirał stanął przed tablicą rozdzielczą. Wielka ilość różnych aparatów i przyrządów mierniczych świeciła najrozmaitszymi kolorami. Światła zapalały się i gasły lub przygasaly, mrugały, pulsowały i drżały.

Admirał odwrócił się w naszą stronę i podniósł rękę do góry. Zafalował na nim, jakby nagłym wichrem zmięty, jego błękitny, metanilowy kombinezon; głowa jego zapłonęła jak ogień — czerwonym kolorem.

— Koledzy! — zawołał. — Odłot!

— Ruszyło tysiąc dysz wylotowych — oświadczył admirał. — Za minutę oderwiemy się od Ziemi.

Admirał uruchomił na jednej ze ścian telewizor i widać było, jak spod podstawy naszej rakietki wydobywają się kłęby kurzu, dymu i ognia, chociaż stała ona na obszernym, ognioodpornym dysku, mającym właściwość doskonałego pochłaniania niebezpiecznych promieniowań wydzielanych przy pracy reaktora superjądrowego. Tłumy ludzkie cofnęły się nieco i wielu zakrywało sobie uszy rękoma, nikt jednak z placu nie schodził. Drżenie kadłuba było coraz szybsze i coraz drobniejsze. Udzielało się ono nam w śmieszny sposób — szczękały nam zęby i nosy swędziały tak nieznosnie, że wszyscy zaczęliśmy kichać.

Wtem drżenie ustało. Gloria oderwała się od Ziemi. Powiększając nieznacznie szybkość mineliśmy w krótkim czasie troposferę i stratosferę. Na wysokości 80 kilometrów mineliśmy świecące, składające się z

Patrz str. 3

S E J M
PIEKIELNY

Drukowane poniżej fragmenty intermedium „Sejm Piekielny” wyjęte zostały z widowiska staropolskiego przygotowanego w Teatrze Nowym przez Kazimierza Dejmka na podstawie tekstów Mikołaja Reja i poezji staropolskiej.

PRZECHERA

Waszmości moje uklona panie Luciferze
Idą teraz Przechera od mojej matczy.
Aleć mamli prawdę rzec nie moja to sprawa
Polskie handle, kupiectwa — toć istna zabawa,
Jako mogą ubogich tak bez ługu myja



A kto może co zarwać to po kącie kryją.
Panowie drą poddanych, poddani się łupią
Tak się sami szkodują swą mądrością głupią.
Rzemieślnik darmo robi, kupca drą na mycie
Tak wszyscy utracają w Polsce rozmaicie.
A toć nie ja, ale się sami odzierają
A drąc jeden drugiego, wszyscy nic nie mają.

CERBERUS

Uczciwszy jasny majestat pana Luciferza
Służby niech będą oddane Książęciu Cerbera.
Dochodów wiele tam to w Polsce u nich mają

6

Dokończenie na str.

Polityczna młocka

WŁADYSŁAW

ORŁOWSKI

DE GAULLE czyli WIELKIE MILCZENIE



Uym razem zwróćmy uwagę na Francję.

Właśnie przed niewielu dniami rząd p. Feliksa Gaillarda po raz siódmy w ciągu pięciu miesięcy istnienia uzyskał od Zgromadzenia Narodowego votum zaufania. Gabinet był o krok od upadku i — jak się powszechnie mówi — tylko obawa przed de Gaulle'em zapewniła mu przewagę 86 głosów.

General Charles de Gaulle, zwany „człowiekiem 18 czerwca” (18. VI. 1940 r. ogłosił on z Londynu apel radiowy do narodu francuskiego, wzywający — mimo klęski — do kontynuowania walki z Niemcami), wystąpił z rządu, którego był premierem przed 12 laty. Cztery lata temu oświadczył, że definitywnie wycofuje się z życia politycznego. Wielu jego zwolenników wypominało mu tę decyzję. Pisarz André Malraux zarzucił mu wręcz: „Doprowadziłeś nas do Rubikonu, lecz

nie po to, aby go przejść, tylko po to, żeby zatrzymać się i urządzić majówkę”.

Obecnie jednak sytuacja ulega zmianie. De Gaulle znów pojawił się na horyzoncie. Nie występuje wprawdzie oficjalnie, ale przeprowadza rozmowy z licznymi politykami, dając w nich niedwuznaczny wyraz pogardzie, jaką żywi dla członków obecnego rządu.

Sytuacja gabinetu p. Gaillarda jest istotnie nie do pozazdroszczenia. Wojna w Algierze, której końca nie widać, wysysa najlepsze siły Francji i zmusza ją do uległości wobec Stanów Zjednoczonych. Zbombardowanie wsi tunezyjskiej Sakiet skomplikowało niezmiernie sytuację Francuzów w Północnej Afryce. Położenie ekonomiczne kraju także nie jest najlepsze.

W tych warunkach coraz częściej słyszy się głosy, że Francji potrzebny jest psychologiczny szok i gruntowna zmiana polityki. Jedno i drugie miały zapewnić powrót de Gaulle'a do władzy.

Historia nie uznaje pełnych analogii (wbrew porzekadłu, że „się powtarza”), niemniej jednak trudno oprzeć się porównaniu obecnej postawy de Gaulle'a z postępowaniem Piłsudskiego w okresie „samotni w Sulejówku”. On również wyrzekł się wówczas publicznie udziału w życiu politycznym i również ograniczał się do pogardliwych ocen rządu. Nie zdradzał się natomiast z żadnym konstruktywnym programem.

De Gaulle milczy. A milczenie jego każdy tłumaczy jak chce, jak mu wygodnie. Cały szereg partii politycznych widzi generała jako postulat narzędzie w swym ręku, przy pomocy którego będą mogły realizować swoją politykę. Wielu polityków najróżniejszych zabarwień od faszystów Poujade'a i skrajnie prawicowego Soustelle'a, aż po Mendesa France'a, pisarza Mauriac'a i radykalnych socjalistów widzi w de Gaulle'u jedynego człowieka zdolnego przeciąć afrykański węzeł gordyjski.

Co kryje milczenie generała? Z jakim programem wróciłby on ewentualnie do rządu? Trudno z całą pewnością stwierdzić. Ze strzępków wypowiedzi de Gaulle'a można by wywnioskować, że jest on zwolennikiem polityki neutralizmu. Należałoby więc spodziewać się wystąpienia Francji z NATO, z tzw. wspólnego rynku europejskiego i z Euratomu. Ponieważ generał oświadczył, że nie wierzy w dążenie Związku Radzieckiego

do wojny, można by oczekiwać poprawy stosunków z ZSRR.

W sprawach Algierii i Afryki Północnej sytuacja jest bardzo skomplikowana. Zarówno zwolennicy liberalnego rozwiązania konfliktu algerskiego, jak i nieustępliwi szowiniści pokładają w de Gaulle'u nadzieje. A co zrobiłby generał po dojeździe do władzy? Chyba doprowadziłby raczej do jakiegoś kompromisu, korzystając z wielkiego autorytetu, jakim cieszy się wśród Afrykańczyków. Arabowie z Afryki Północnej walczyli bowiem pod jego sztandarami w czasie ostatniej wojny, zaś mieszkańcy Afryki Równikowej pamiętają, iż to właśnie on mianował gubernatorem tej kolonii po raz pierwszy nie Francuza, lecz tubylca Feliksa Eboue.

Istnieje jeszcze problem, w jaki sposób miałby de Gaulle wrócić do władzy — czy na wzór generała Boulanger'a i Piłsudskiego uciekłby się on do zamachu stanu, czy też skorzystałby z drogi konstytucyjnej? Ta ostatnia droga jest raczej nie do przyjęcia, gdyż prezydent Republiki zgodnie z postanowieniami konstytucji może powierzyć misję utworzenia rządu tylko członkowi parlamentu i przywódce którego ze stronnictw politycznych. Generał nie jest w tej chwili ani jednym ani drugim.

Pozostaje na zakończenie złożyć jakąś deklarację. Czy to dobrze, czy źle — z naszego punktu widzenia — jeśli de Gaulle sięgnie po władzę? Odpowiedź nie jest łatwa. Milczenie de Gaulle'a bardzo ją utrudnia. Zasadniczo należałoby przyklasnąć ewentualnie podjętej przez Francję polityce neutralizmu i rozwiązaniu problemu algerskiego. Z drugiej strony trzeba zdawać sobie sprawę z tego, w jak poważnym niebezpieczeństwie znajdują się instytucje demokratyczne we Francji.

Za wcześnie jeszcze na zdecydowaną ocenę de Gaulle'a choć — jak pisze Maurice Duverger na łamach „Monde'u” — powrót generała do rządu, to już nie kwestia „czy”, ale kwestia „kiedy”.

Tyle na dziś wymyślił:

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI



DZIKIE WICE

Nasza szkoła
W DZIKOWICACH



ewnego dnia do powiatowego miasteczka przyjechał nowy sekretarz KP PZPR. Ale nie ma gdzie mieszkać. Wobec tego grupa członków partii udaje się do mieszkanka, które zajmuje pewna rodzina: ojciec, matka, babcia i czworo dzieci. Jest zima, PZPR-owcy włamują się do owego mieszkanka, wybijają szyby, wyrwywają futryny, demolują wnętrze. Dzieci płaczą na ośmiostopniowym mrozie...

Co wy na to? Wiem. Zrywacie się przy lekturze zdenerwowani, podnieceni, oburzeni i wyobrażacie sobie, co zrobiliście w tym świecie: strajk, manifestację, linę na winnych tego zajścia, no, diabli wiedzą co jeszcze. Z góry zresztą ich czyni usprawiedliwicie. Dobrze!

Tylko że TO WSZYSTKO NIE PRAWDA. Powyższa historia żelazna jest od a do z. Nie było żadnego sekretarza, pezetperowcy nigdzie się nie włamywali, nie było żadnych manifestacji, strajków ani innych drak.

Zdenerwowałem Was, uspokoiłem a teraz opowiem mało sensacyjną, zwyczajną sobie historię, wycytaną w 20-marcowym warszawskim „Expressie Wieczornym”. Rzecz jest sobie pomieszczona skromnie, wydrukowana drobnym druczkiem i ma się tak:

We wsi Dzikowice (woj. zielonogórskie) miał się osiedlić ksiądz. Nie można było znaleźć dla księdza mieszkanka. Rada parafialna uznała, że najbardziej nadawałoby się dla niego mieszkanka nie rodziny, składającej się ze staruszki-babki, małżeństwa Janczaków i czworga małych dzieci. Pewnego dnia, po mszy, tłum wtargnął do tego mieszkanka, powybiłszy szyby, powyrywał futryny, zdemolował wnętrze. Dzieci znalazły się na mrozie i dopiero milicja położyła łkres zajściu. Historia jest już, oczywiście, najprawdziwsza z prawdziwych.

Co Wy na to? Pewno tym razem reakcje Wasze są różne. Jedni łączą w tej chwili z imieniem Belfra wszystkie epitety, które zwykle się kojarzą z pojęciem „żydo-komuny”. Inni myślą sobie spokojnie, że widocznie w tych Dzikowicach coś było nie tego... Jeszcze inni zdecydowanie uwa-

żają, że to skandal i że warto byłoby się dobrać (co zresztą MO uczyniła) do skóry sprawców zajść, a kto wie czy nie do skóry księdza Dejmy, który biernie na owe widowisko spoglądał. Nikt z Was jednak nie jest czerwony z oburzenia. I nikt — zresztą słusznie — nie wyobraża sobie, że w owym powiecie ludność spontanicznie protestowała, strajkowała, wyczyniała jakieś antyklerykalne demonstracje.

Jasne. Tam jest spokój. Wy jesteście spokojni. „Express Wieczorny” jest spokojny — ot, zwykła wiadomość dnia. Nikt o takie rzeczy rabanu w Polsce nie podnosi. Jedni: „bo to przecież ksiądz, my tu ludzie wierzący, więc po co sensację robić? Jeszcze księciu zaszkodzi”. Inni: „bo to rozumiecie, towarzyszu, ksiądz, ksiądz, drażliwa sprawa, cienka rzecz, polska specyfika, taki już kraj”.

I tu Wasz Belfer chciałby wtargnąć swoje trzy grosze. Nie grzmieć, nie ryczeć! O nie! Wspowiadać się jak na Wielkanoc. Cichutko ze swego bardzo skromnego i bardzo intymnego marzenia:

O! Chciałbym ja dożyć tej pociechy, żeby oburzenie opinii publicznej było zawsze takie same niezależnie od tego, czy ów zdziaczył tłum składa się z niedawnych uczestników zebrania partyjnego, czy też zgola majówkę. Zebyśmy jednakowo protestowali. I jeszcze: żeby w ogóle tak samo oburzał nas zdziaczył fanatyzm religijny jak każdy inny fanatyzm.

Bo nie jest się społeczeństwem dojrzałym człowiekiem humanistą, gdy się zwykle reagować tylko na wynaturzenia ze strony jakiejś instytucji, władzy czy ludzi władzę sprawujących, ale wtedy, kiedy jednakową miarę przykładają się do każdego człowieka niezależnie od tego, czy jest w szatanie, w mundurze, czy też zgola w cywilnym ubraniu a z jakąś ważną legitymacją w kieszeni. I kiedy zawsze fanatyzm uznaje się za fanatyzm i zdziaczył bandytyzm za zdziaczył bandytyzm.

Gdybym miał po temu morze miejsca do kampanii prasowej, do wieców protestacyjnych, do manifestacyjnej zbiórki na rzecz poszkodowanej rodziny Janczaków.

Nie robię tego. Bo wiecie... „polska specyfika”.

W tym miejscu wraca się Redaktor, powiadając:

— Belfrze, Belfrze, czego nudzisz i judzisz, ty jesteś tu tylko po to, żeby ludzi uczyć czytania gazet!

Dobrze. Tematem dzisiejszej lekcji będzie umiejętność czytania w gazetach tego, czego w nich nie ma. A raczej wyciąganie wniosków z racji tego, że czegoś wyraźnie nie w prasie brak.

Proszę, bierzemy prasę katolicką. Otwieramy i szukamy omówienia zajścia w Dzikowicach. Nie znajdujemy. Mało. Śmiem twierdzić, że nie znajdziemy i w przyszłych dniach, tak jak nie znajdowaliśmy potępienia ohydnych ekscesów na licznych pogrzebach „Świaków Jehowy” i działaczy partyjnych.

Z tej pustki — drodzy moi — wiele można wyczytać. Między innymi i to, że ludzie pisma te redagujący nie podzielają widać moich marzeń o kraju, w którym fanatyzm jest fanatyzmem, barbarzyństwem — barbarzyństwem, a zdziczenie — zdzičeniem niezależnie od tego, jaki przymiotnik nosi i jakim sztandarem się posługuje.

A ja nie chciałbym się posługiwać w przyszłości tą wstępą mistyfikacją z sekretarzem KP — dla obudzenia oburzenia Czytelnika. Chciałbym wprost opowiedzieć jakąś historię a la Dzikowice w przeszłości, że niezależnie „kto i kogo” gniew Wasz będzie równie wielki,

BELFER



SZANOWNY REDAKTORZE BELFER!

Dużo uciechy sprawia swym Czytelnikom — zwłaszcza pić młodym leżącym w Łodzi, czyli meskie — „Kram z Ilustracjami” (sobotnia atrakcja „Expressa Ilustrowanego”). Dodatek ów reprodukuje masowo artystyczne i mniej artystyczne (jak sam niedawno stwierdził na swych łamach) zdjęcia rozebranych pań. W dniu „Święta Kobiet” — „Kram” uczył pracujące kobiety trzema reprodukcjami w wyżej wymienionym stylu, z których najbardziej zachwyca nas podobna pani Niny Dyer, eks-modelki z londyńskiego domu mody, eks-baronowej von Thyssen, obecnie małżonki księcia Siedruddina, syna Agi Khana III. Eks-modelka pozowała do zdjęcia z bratem „mądrym dyktatorem”, panem Nicolem Franco, Piękną pani, na zdjęciu — tak zresztą jak i jej partner — prawie całkowicie goła, jest dla redaktorskiego przysłusku — zupełnie nieoszczędna. Tak więc — konkluduje redakcyjny przypisek — bratu dyktatora Franco „nie pozostało nie ponad zdjęcie z Niną w kusym kostiumie”. Jeden z czołowych publicystów „Kramu” (bardzo zresztą skromny — vide jego wyznanie w felietonie „Mój kramik!” — Ja na przykład nie mam poczucia rytmu i dzięki temu fatalnie tańczę. Mam za to jakieś takie zdolności dziennikarskie, więc piszę”) — oświadczył publicysta, rozpamiętując szczegółowo nader frapujące zagadnienia ciała kobiecego, dochodził mniej więcej do takiej konkluzji: „młode ciało kobiece, zwłaszcza nagie, to wcale nie piękna, a wszelkie piękno jest przede wszystkim postępowe”. Aby nie było wątpliwości, do daje w innym felietonie na ten sam temat: „piękno, to życie” (sic!).

Są to składane, dopasowane świetnie do problemu, myśli Czernyszewskiego i Futramenta. Dla ostatecznego rozstrzygnięcia w kwestii i powodzenia wyborów „Mis Łodzi” (za którymi głosujemy jak jeden mąż), proponujemy statemu felietonistom „Kramu” zacytować jeszcze dla swych celów: Platona, Arystotelesa, Leibniza, Lessinga, Kanta, Spencera oraz — koniecznie — estetyków marksistowskich w osobach Grzegorzka Lasoty i Melanji Kierczyńskiej. GWÓDZI

JAN ADAMOWSKI

Kwiaty polskie

ogólnej sumy ubytku pionu MHD, że wrażliwość one z roku na rok, że wreszcie są wyższe od wykazywanych przez takie przedsiębiorstwa w Warszawie i Krakowie — stwierdzić należy, że w MHD — Kwiaty coś źle się dzieje, że brak troski o mienie społeczne”.

W innym znów miejscu dokumentu czytamy, że...

„MHD — Kwiaty z zasady nie wykonywał planów w miesiącach letnich, kiedy potrzeba większej elastyczności i ścisłego powiązania się z produkcją, by móc konkurować z prywatnymi handlarzami”.

Czy istotnie konkurencja była aż tak wielka? Na 27 sklepów państwowych istniały w 1955 r. w Łodzi zaledwie 3 sklepy prywatne. Ile więc lat przedsiębiorstwo może przynosić nieustannie ubytki i manka?

Postanowiono zmienić kierownictwo. Na stanowisko dyrektora przyszła długoletnia pracownica Komitetu Łódzkiego tow. Aleksandra Białowa. Szała za nią nie tylko dobra opinia najwyższej instancji partyjnej w mieście, lecz również niezgorzowana rekomendacja z dawnej składowej przetrutowo-włókienniczej PDT, gdzie pracowała do 1949 r.

Nowy dyrektor od pierwszej chwili postanowił skończyć z deficytem i nadużyciami w handlu.

GALERIA TYPÓW

Oto kierowniczka sklepu Michalina Zajdorzowa. Posiada wieloletnie doświadczenie w

oszukiwaniu klientów i Skarbu Państwa. Jeszcze w 1953 r. wyrzykowała kontrola inspektora finansowego Stanisława Owczarka wykazała, że podwyższyła samowolnie cenę nasion kapusty brukselskiej z 70 groszy do 6,99 zł. Bagatelka! W następnym roku kontrola stwierdziła nielegalny handel własnymi kwiatami w sklepie państwowym. Zajdorzowa zostaje zwolniona, a po pewnym czasie na powrót przyjęta do pracy. A gdy w ub. r. ponownie schwytała ją na przestępstwo, dyrektor Białowa wydał bezapelacyjny wyrok: „Dość kantów!” Jakże więc nie pisać listów na dyrektora, który ją pozbawił tak lukratywnego stanowiska?

Oto następna kierowniczka sklepu — Regina Bartoszek. Jej szwagier — ogrodnik na Rełkini. Obok sklepu — hotel „Orbis”. To masowy odbiorca kwiatów. W „Mallnowej” — bankiety, przyjęcia w „Mallnowej” — goście zagraniczni. Potrzebne są kwiaty. Kontrola PIH ujawnia:

„W dniu 27. VII. 1957 r. Bartoszek sprzedała do hotelu 400 szt. cyklamenów bez pokrycia dowodowego. W trzy dni potem otrzymała do sklepu 100 szt. cyklamenów, a sprzedała je do „Orbisu” 300. Nazajutrz nie otrzymała nic, a sprzedaje 100 szt.”.

Tego typu kombinacje ujawniono również w poprzednim roku. Gdy jednak dyr. Białowa stawia sprawę na posiedzeniu aktywu i

(Dokończenie na str. 11)

LUDZIE I DOKUMENTY

Szperając w aktach sprawy Aleksandry Białowej natknąłem się na interesujący dokument, rzucający snop światła na stosunki istniejące w przedsiębiorstwie handlowym MHD — Kwiaty. Tytuł dokumentu brzmi: „Analiza działalności gospodarczej Łódzkiego Zarządu Handlu za rok 1955”. Czytamy w nim:

„... Spośród przedsiębiorstw handlu spożywczego, jedynie przedsiębiorstwo artykułami kwiatarskimi wykazało w okresie sprawozdawczym wzrost ubytków nadzwyczajnych tak w cyfrach bezwzględnych, jak i we wskaźniku w stosunku do obrotów. Zwłaszcza, że ubytki nadzwyczajne stanowią tu 30 proc.

Uczeni na łódzkim rynku

Przypominam sobie, jakby to było dziś, nasze pierwsze próby badań socjologicznych. Byliśmy wtedy, w roku 1948, studentami, marksizm szumiał nam w głowie jak rydło wino, pierśi rozpięła wiara, że właśnie teraz, uzbrojeni w prawdziwą wiedzę — my, młodzi ludzie — zapieczętujemy na ostatni guzik, udowodnimy na faktach wielkość naszych czasów. Co do mnie zamierzałem na początek pokazać w pracy seminaryjnej, jak to człowiek przekształca się z zahukanego chłopca w świadomego robotnika.

I tak, kilku z nas bardziej zapalonych entuzjastów powiązania nauki z życiem, stanęło przed bramą fabryki. Bramę, i owszem, otwarto, ale z badań wyszły nic. Jakość produkcji, jej organizacja, zarobki, zainteresowania życiowe robotników? Hala, młodzieńcy! Minister tego dobrze nie wie, a niewypierzony student i asystent chciałby wiedzieć?

Uciekaliśmy więc w przeszłość — dłużej się beznadziejnie w historii, analizowało socjologicznie jakiś „mons pietatis” jako instytucję kapitalistyczną. Tylko odważniejsi chwytali współczesność i to w ten sposób, że chodzili po ulicach, liczyli latarnie, badali kocie łby, spisywali przewody gazowe, elektryczne, kina, świetlice i tak powstawały niezwykle głębokie prace o wyposażeniu któregoś tam dzielnicy miasta. Mądrzejsi wiązali naukę z życiem poprzez prace polegające głównie na wypisywaniu i zestawianiu cytatów.

Piszę o tym przede wszystkim dlatego, że równocześnie z zamknięciem możliwości badania życia, pisało się i mówiło o oderwaniu nauki od życia. Jeszcze i dziś zdarzy się słyszeć, że Łódź i jej klasa robotnicza łożą na wyższe uczelnie, a niewiele z nich mają, uczelnie nie wrosły w życie miasta, naukowcy dłużej pod Tumem, badają średniowieczne monety, tylko współczesnej Łodzi badać nie chcą.

Zagadnienia związków wyższych uczelni z wielkim, robotniczym miastem nie jest proste. Niezależnie bowiem od specyfiki miasta każda uczelnia musi realizować określony program nauczania i prac

badawczych, musi się starać o możliwie wysoki poziom, i to jest sprawa pierwsza.

Do niedawna jeszcze, kiedy planowano co do milimetra „wzrost człowieka”, kiedy ustalano niezbić, że matki-Polki urodzą z całą pewnością tyłu a tyłu lekarzy, inżynierów, polonistów i historyków, sądzono równocześnie, że np. Łódź zgłosi na piśmie zapotrzebowanie na taki a taki asortyment absolwentów wyższych uczelni, no a Uniwersytet czy Politechnika, wykonają po prostu to zamówienie społeczne. I sprawa załatwiona. Związek nauki z życiem produkcyjnym jest? Jest. Związek uczelni z miastem? Także jest. Tylko, że tego rodzaju związek z życiem i macierzystym terenem sporządzony był na wariackich papierach.

Ostatecznie bywało tak, że polonisci z trudem zostawali nauczycielami gimnazjów, emigrowali za Kozalin, inżynierom proponowano stanowiska majstrów na tzw. prowincji, teatry nie mogły wchłonąć absolwentów Wyższej Szkoły Teatralnej, muzyki z wyższym wykształceniem kończyli w knajpie. Praktyka ujawniła niekiedy rażące dysproporcje pomiędzy liczbą łódzkich absolwentów, a realną możliwością ich zatrudnienia. Ta właśnie dysproporcja pozwala bez trudu stwierdzić, że to co miasto może mieć z wyższych uczelni zależy w dużej mierze od możliwości rozwojowych samego miasta. I to jest sprawa druga.

No, ale zacząłem ten felieton od anegdoty. Istotnie wyrzucono nas z fabryki, którą chcieliśmy badać. Powiem więcej, odeszliśmy wynosząc niejasne przecucie, że potraktowano nas niczym potencjalnych agentów obcego mocarstwa. Oczywiście, dziś tak sympatyczne przyjęcie naukowców jest nie do pomyślenia. Ludzie nauki w fabrykach pojawiają się często, co świadczy o radykalnej zmianie klimatu w tym zakresie, zmianie bezcennej jeśli chodzi o kształtowanie więzi pomiędzy miastem i naukowcami.

Dziś nasze miasto stanowi poważny ośrodek rozległych badań socjologicznych. Z jakich grup społecznych pochodzą tysiące wychowanków Uniwersytetu Łódzkiego, co robią dziś, jakie wypełniają role społeczne, czy zostali

należycie przygotowani do pracy — na te pytania odpowiadają badania łódzkiej i nie łódzkiej inteligencji.

Mieszkańca Łodzi z pewnością zaciekawią badania nad Technikum Włókienniczym. Uczą się tam — jak wiadomo — także i robotnicy, którzy powinni po skończeniu technikum zająć kierownicze stanowiska w przemyśle. Warto sobie przypomnieć, że wokół tak zwanego awansu społecznego nagromadziło się mnóstwo sprzecznych, często niesprawiedliwych opinii, wziętych nieraz wprost ze świeżego powietrza. Jak powstaje taka kategoria inteligencji, czy i jak wypełnia swoją rolę — i na te pytania odpowiadają nasi socjologowie. Wypowiedzą się zresztą w kwestii bardziej istotnej. Po badaniach innych kategorii inteligencji — naukowców, dziennikarzy, urzędników i jeszcze innych — popróbują bardziej ogólnej syntezy, obejmującej zasadnicze tendencje rozwoju tej formacji, popróbują ustalić przebieg procesu formowania się podziału pracy w społeczeństwie budującym socjalizm.

Oczywiście, centralną postacią Łodzi jest włókiennik. Od szeregu miesięcy trwają badania dzielnic i zakładów pracy. Jak się różnicuje łódzka klasa robotnicza, na jakiej zasadzie, jak żyje materialnie i duchowo, z czego żyje, na co wydaje pieniądze — w tych pytaniach mieści się problematyka badań. Oczywiście — niecała. Niezmiernie interesująco zapowiadają się studia niejako poboczne. Kto i dlaczego czyta popularny tygodnik „Przyjaciółka”, kto i dlaczego słucha regularnie radiowej powieści o Matysiakach? Który spośród członków rodziny Matysiaków jest najpopularniejszy wśród robotników łódzkich i dlaczego?

Badane są wreszcie, bodaj tylko w Łodzi — rady robotnicze, jeden z fragmentów odnowy, zapoczątkowany na VIII Plenum.

Jeżeli wspominał te właśnie badania, to z pewnością nie tylko dlatego, żeby dowiedzieć, że matką opinii na temat oderwania łódzkiej nauki od macierzystego terenu, była zazwyczaj idealna, chemicznie czysta, niewiedza. Wspominał ten szczupły fragment badań, bardzo dziś w Łodzi szeroki, z pewną gorączką — „lepiej jest dziś być studentem niż kilka lat temu.

III

JAN CZARNY

Historia o Bzdurowie we fraszkach i obrazkach



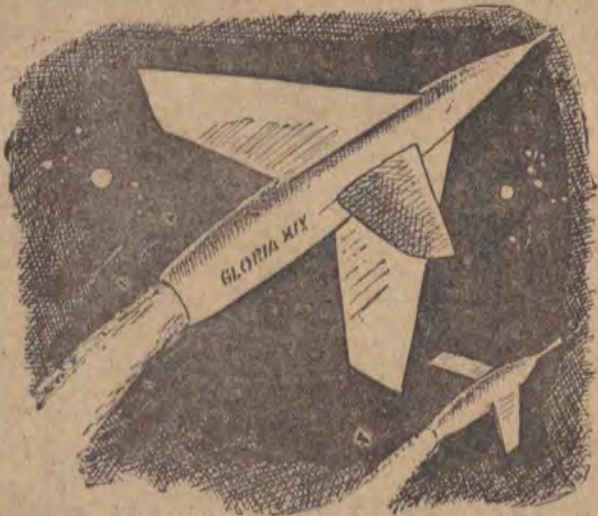
Rys. H. Poulain

Pamiątki

W Bzdurowie ta postać wyniosła na rynek — to pomnik osła.

(D. c. n.)

— 4 —



kryształów lodu. obłoki — błyszcząły jak wklęsłe lustro.

Na wysokości jonosfery zbliżyły się do nas liczne statki odrzutowe małego zasięgu, które nas odprawiały. W obszernym jachcie Prezydenta Callado znajdowały się przed kryształowymi szybami rodziny odjeżdżających astronautów. Tuż przed sobą ujrzałem twarze moich rodziców, braci i sióstr. Matka i siostry płakały, a ojciec i bracia chmurzyli brwi, szli się na uśmiechy i kiwali rękoma. Zamieniłem z nimi kilka słów przez mikrofony. Zdawało mi się ciągle, że miga poza nimi splakana twarzyczka mojej Terenki. Było to chyba jednak złudzenie.

Tak pedziliśmy obok siebie z wciąż wzrastającą szybkością aż przez całą jonosferę, do końca egzostery. Tu atmosfera ziemską przechodził w przestrzeń międzyplanetarną. Wyrzuciliśmy na pożeganie pięć wspaniałych, błękitnych rakiet i admirał Hill przyspieszył lot. Pojazdy odprowadzające zaczęły szybko maleć, aż wreszcie rozplynęły się w przestrzeni planetarnej. Wraz z nimi zniknęły i twarze kochane, i łzy, i uśmiechy, i słowa, i wszystko.

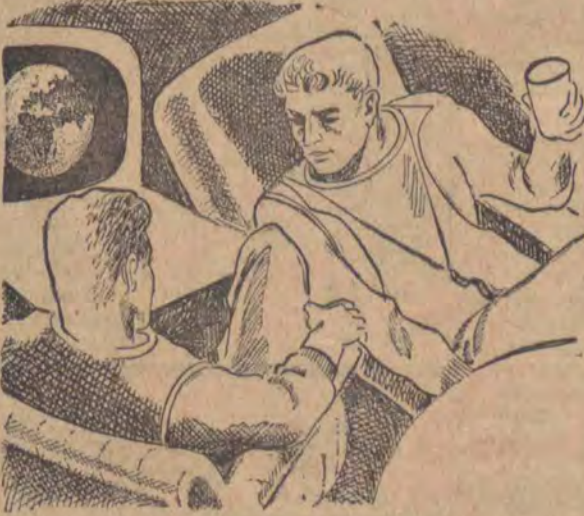
Zegnaj Ziemio cudownie piękna!
Zbieraliśmy się co dzień z rana lub po obiedzie w naszej sali klubowej i zajmowaliśmy się dyskusjami.

Najbardziej frapującym tematem naszej załogi był rzecz jasna — Mars. Ta jakaś tragiczna i straszliwa tajemnica, z którą mieliśmy się wkrótce zetknąć.

Dyskusję naszą zagajał zwykle admirał Hill.

— Zreassumujmy więc, koledzy — zaczął. — Trzeba

— 5 —



zrobić zestawienie naszej wiedzy i niewiedzy, naszej siły i słabości, zebrać, że tak powiem, nasze aktywa i pasywa.

— Przede wszystkim chyba pasywa — odezwał się profesor Townsend, znakomity specjalista w zakresie elektroniki, twórca akceleratorów wysokiej częstotliwości do wytwarzania osłon elektronowych. — Właściwie nie wiemy prawie nic.

— A jednak coś niecoś wiemy — zahuczał Hill w odpowiedzi profesorowi Townsendarowi. — Wiemy na przykład, że wszystkie nasze poprzednie rakietki dołatywały do Marsa pomyślnie. Znamy to z radiogramów, a gdy chodzi o ostatnie loty, to nawet z fotografii i filmu. Wiemy o tym również z zapisów dawniej stosowanych rakiet towarzyszących, które na Marsie nie lądowały.

— Donosły one zawsze, że wszystko w porządku — dorzucił profesor Townsend.

— Tak — potwierdził admirał — tak było. — Spojrzał na nas posepnie. — Radiodepesze opisywały wszystko. Przebieg lądowania, pierwsze wrażenia, krajobraz. Gdy jednak zmierzach zapadał, łączność urywała się... a następnego dnia — nie było już z tego wszystkiego żadnego śladu. Nie pozostawało po nich nic...

— Koledzy — zadudnił admirał. — Czy przypominacie sobie archipelag tuomocki na Pacyfiku? Tam gdzieś w pobliżu wysp Cooka, niedaleko Markizów? Mieszkał tam krajowiec Vauvau. Miał on słaby, nieduży aparat typu C2X12. Teraz już takich nie ma. W każdym razie łączył go on z całym światem i

— 6 —



dzięki niemu miał dużo ciekawych znajomości. Na Pukapuka odbiór jest znakomity, bo nic nie przeszkadza. Tego dnia z rana nastąpiło lądowanie na Marsie, i przyszła wiadomość, że wszyscy są zdrowi, dobrze się czują i — ślą pozdrowienia.

Wtem w aparacie coś zatrzeszczało, posypał się rój chaotycznych elektronów, sygnał wywoławczy znakami Morsego i jakaś treść, jakiś telegram. Zapisywał pośpiesznie. Brzmiało to tak: jzm—e—ad—owo—j—biy—nie—ac—isz—azję—zie—umay—ao—vuun.

Admirał przejechał ręką po swoich czerwaworudych włosach.

— Proszę pamiętać, że działo się to wszystko przed dwustu laty. Następnie nie było najmniejszego dowodu, że jest to rzeczywiście znak od naszych ludzi z Marsa. Ani jeden aparat na globie naszym takiej depeszy w tym czasie nie odbierał. Strzęp jakichś słów, jak się zdawało, nie był do rozszyfrowania, ale tajemnica tej depeszy wielu ludzi frapowała. Rozpoczęły się dwie setki lat trwające wysiłki nad rozwiązaniem tego zadania. Tysiące wtajemniczonych ludzi lamalo sobie nad tym tekstem głowy. Proszę — zwrócił się do nas — zapiszcie sobie ten tekst. Opo-wiem wam, co zostało ustalone.

Cały tekst brzmi następująco: „Jesteśmy we władzy potwornej kobiety. Nie lądować. Zniszczyć... azję. Zegnajcie. Umieramy. Paavo Vituulen”.

Profesor Townsend wstrząsnął się, jakby zmarł.

— Przerażająca, straszna depesza — powiedział, — Okropna treść.

(d. c. n.)

**PRZYKŁAD
DLA CALLAS**

„Callas może się od niej uczyć” — tak we Włoszech powiedziano o piosenkarce Marisa del Frate. Jadąc swym samochodem z Mediolanu, z szybkością 90 km na godzinę, Marisa wpadła w jakiś mur i złamała sobie nogę. Pomimo bólu i lekkiego szoku nerwowego del Frate zjawiała się w Genewie wieczorem na scenie, z nogą w gipsie, otrzymując brawa jeszcze gorętsze od tych, którymi ją obdarowano na krótko przedtem w San Remo. Uwagi genuieńczyków, iż Callas może się uczyć od del Frate, nawiązują naturalnie do głośnego skandalu, wywołanego niedawno przez grecką śpiewaczkę w obeerze rzymskiej.

**POWAŻNE
PROBLEMY**

Książę Rainier poczuł się obrażony artykułem w jednym z francuskich piśm, gdzie pisano jakoby władca Monaco rozporządzał coraz to bardziej pustosząca szkatuła. W związku z tym książę polecił swemu paryskiemu przedstawicielowi dyplomatycznemu, żeby złożył w tej sprawie protest u ministra spraw zagranicznych. Na tej podstawie minister sprawiedliwości polecił wdrożyć postępowanie sądowe przeciw nieznanemu z nazwiska osobnikowi z powodu „napaści na szefa rządu obcego państwa”. Trudno się tu zaiste powstrzymać od u-



wagi, że równia groteskowe są problemy owego szefa rządu, jak groteskowe jest samo jego państwo...

**MIESZKANIA
Z WRAKÓW**

W połowie marca dyrekcja publicznych środków komunikacyjnych w Paryżu postanowiła sprzedać szereg starych zużytych autobusów. Dyrekcja ma nadzieję osiągnąć około 700 dolarów za autobus, zdaje sobie bowiem sprawę, iż wraki autobusowe można zamienić doskonale na tymczasowe mieszkania. A według oficjalnie publikowanych niedawno obliczeń, głód mieszkaniowy we Francji trwać będzie jeszcze przez 100 lat!



**WRAŻENIA
TURYSTY**

W konserwatywnym dzienniku „La libre Belgique” ukazał się reportaż z Bukaresztu, nadesłany przez bońskiego korespondenta tego pisma. Oto uwagi na temat mody w stolicy Rumunii: „Moda rumuńska nie zna „praw socjalizmu”. Jest ona typowo zachodnia. Być może, bardziej zachodnia niż w Wiedniu lub Monachium. Mężczyźni holdują modzie włoskiej, kobiety — francuskiej... Materiały produkowane w państwowych fabrykach muszą odpowiadać wymogom mody. To samo dotyczy kapeluszy. Natychmiast po wojnie kapelusz był rzeczą powszechnie pożądaną, uznawano go za nieproletariackie nakrycie głowy. Obecnie mężczyźni



znowu noszą kapelusze, a Rumunki nie wyobrażają sobie nawet, jak bez kapelusza można by się było pokazać na ulicy...”

ŚMIAŁE MYŚLI

W ankiecie na temat aktualnej sytuacji prozy czeskiej, przeprowadzonej przez miesięcznik „Novy Zivot”, zabrał między innymi głos znany krytyk berneński, Jan Trefulka. W jego wypowiedzi znajdują się bardzo oryginalne i śmiałe myśli: „Również wśród nich (pisarzy — przyp. nasz) rozpowszechniło się dążenie do tego, by być raczej przeciętnym, drukowanym i płacowym, niż odkrywcą i cierpieć przez pewien czas za swoją prawdę. A przecież nawet w okresie socjalizmu artyście nic nie spada z nieba — za każdą wielką sztukę zawsze płacilo się i płaci życiem. Niech sobie nikt nie wyobraża, że uda mu się oszukać przyszłość przy pomocy bajek, powieści historycznych, laktarnicznych reportaży lub opisów podróży, że potrafi ominąć podstawowe prawa sztuki. Wyzwolenie, silne i nieprzemijające słowo powie ten, kto napisze odkrywczym w formie, nowoczesne, współczesne dzieło społeczne, kto stworzy prawdziwy obraz dzisiejszego człowieka. Bez względu na to, co na to powie ten lub ów i czy dzieło to wyjdzie w roku bieżącym czy dopiero po wielu latach”.

ODWIEDZINY

Zgodnie z oświadczeniem firmy Krupp w Essen, główny pełnomocnik Alfreda Kruppa von Bohlen und Halbach, Beltz, przebywał niedawno w Warszawie na zaproszenie rządu polskiego. Beltz w czasie wojny kierował przez trzy lata wydobyciem ropy naftowej na terenie Polski (z roku 1933) i znany był w owym czasie ze swego lojalnego stosunku do Polaków. Przedstawiciel Kruppa w czasie pobytu w naszym kraju przeprowadził rozmowy z szeregiem wybitnych osobistości życia politycznego i gospodarczego.



**PRZECIW
BOGATYM**

Ekspert finansowy SPD w Bundestagu oświadczył niedawno, że jego partia zamierza wystąpić z wnioskiem o większe opodatkowanie 40 tysięcy obywateli NRF, których roczne zarobki przekraczają 100 tysięcy marek (około 25 tysięcy dolarów).

ZNAMIENNA

Na 58 abiturientów w Neumünster, tylko jeden wyraził chęć zostania oficerem. Większość myśli o zawodzie nauczyciela, inżyniera i architekta.

OSTRZEŻENIE

Jeden z najpopularniejszych sloganów przeciwpożarowych w USA jest następujący: „Nie pal w łóżku: popiół, który spada na podłogę, może się stać twoim własnym”.

**POŻYTEK
Z MONROE**

W Atec, New Mexico, USA, szeryf Sullivan wykrył ucieczkę z więzienia dwóch niebezpiecznych przestępców. Zarządzone natychmiast śledztwo ustaliło, iż wydoszli się oni na wolność, przebijając sobie przez szereg lat otwór w stalowej ścianie cell. Otwór ten osłonięty był zawsze wielkim portretem roznieglizowanej Marilyn Monroe.



BEZ PROTEKCJI

Radzieckie pismo „Krasnaja Zwiezda” podało do wiadomości, że żony wysokich oficerów nie mogą wykorzystywać stopni i stanowisk swych mężów przy załatwianiu własnych spraw. Odnosi się to szczególnie do zachowania żon oficerów, które, powołując się na stanowisko mężów, usiłowały w sklepach załatwiać zakupy poza kolejką.



FATAMORGANA

Według doniesienia agencji TASS, filmowcom chińskim i radzieckim udało się sfilmować fatamorganę.

„O ZDROWY BYT”

W prasie radzieckiej ukazują się ostatnio coraz częściej publikacje, wykazujące szkodliwość nadużywania alkoholu i nawołujące społeczeństwo do walki z pijakami. I tak np. „Izwestia” wyrażając się z uznaniem o wprowadzonym zakazie sprzedaży alkoholu w kioskach ulicznych oraz o podjęciu energicznej walki z nielegalnym pędzeniem alkoholu, sygnalizują, iż niestety kontrola nad realizacją wymienionego zarządzenia pozostawia wiele do życzenia. Dziennik wymienia przykład sprzedawania alkoholu w sklepach poza kolejką i dodaje, że personel sklepowy nieraz ko przymyka oczy na konsumowanie wódki „na miejscu”, a niekiedy przechodził nawet „spragnionym” z pomocą, dostarczając im szklanek. Również w kioskach, mimo zakazu, sprzedaje się często wódkę, która zostaje wypita w najbliższej bramie. „Wydaje się — piszą dalej „Izwestia” — że nadszedł czas, by powołać do życia masowe, dobrowolne stowarzyszenie „O zdrowy byt”, które walczyłoby ze szkodliwymi zwyczajami i przesadami, propagując zasady higieny społecznej i pomagając partii i radom we właściwym wychowaniu młodego pokolenia”.



HOROSKOPY

W angielskim konserwatywnym tygodniku „Sunday Express” znaleźliśmy niedawno następujące sformułowanie: „Premier Macmillan pragnie w roku 1958 zamienić się w tak wielkiego gołąbka pokoju, iż Bevan (przywódca opozycji — przyp. nasz) będzie w porównaniu z nim sprawiał wrażenie wygłodzonego wróbla”.

ODZNACZENIE

Bardzo ponoć znakomite stowarzyszenie kobiece w USA nadało niedawno pani Patricia Nixon, małżonce wiceprezydenta Richarda Nixona, tytuł „idealnej żony” — oraz ofiarowało jej filiżankę ze srebra wielkości wazy do zupy. Stowarzyszenie wskazało przy tej okazji na liczne enoty pani Nixon, między innymi na to, iż „nie próbuje ona w życiu publicznym konkurować ze swym mężem”.

**AMERYKAŃSKI
STYL**

Amerykanie zamierzają wyposażyć swój pawilon na światowej wystawie w Brukseli w bufet, którego kuchnia będzie otrzymywała co dzień drogą lotniczą świeże serdelki z USA.



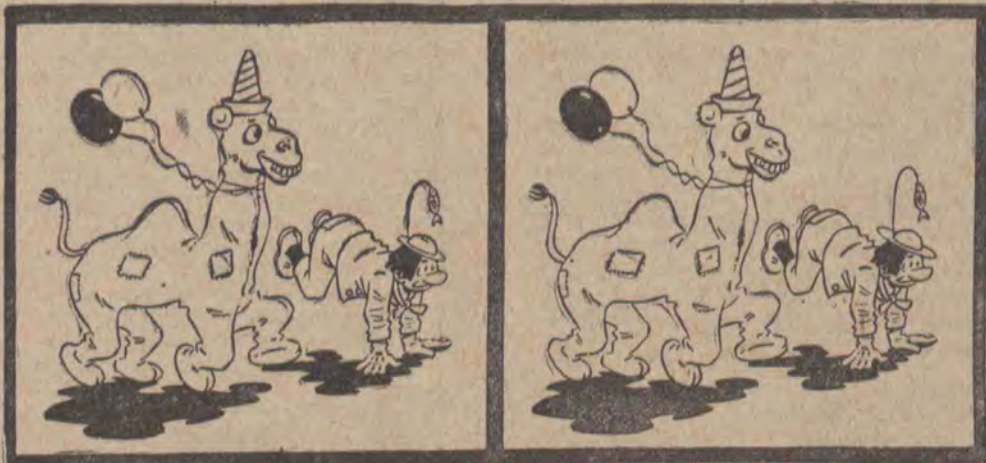
Czy jesteś spostrzegawczy?

Periodyczny Konkursik Golono-strzyżono

Rysunek po stronie prawej różni się od rysunku po lewej 10 szczegółami. Poszukaj, zaznacz je, następnie wytnij oba rysunki, dołącz nazwisko, imię, adres i nadeślij do redakcji „Ogłosów” w kopercie z napisem: „Konkursik

„Golono - strzyżono”, a w nagrodę otrzymasz cenną książkę.

Uwaga: Jeżeli nie uda Ci się znaleźć 10 szczegółów, zaznacz przynajmniej 7, a dopuszczony zostaniesz do losowania nagród pocieszenia.



Wiedeń w nocy



Nadzie miasto ma jakieś osobliwe, charakterystyczne dla siebie miejsce, które szanujący się turyści, kiedy w nim przezwą, powinni zobaczyć. Rzym ma Colosseum i Bazylikę św. Piotra, Wenecja — Plac św. Marka, Paryż — Wieżę Eiffla i Pola Elizejskie, Łódź... Grand Cafe i Piotrkowska. Wiedeń posiada Grinzing i Schoenbrun. Na Grinzingu, przedmieściu Wiednia, położonym u stóp wzgórza Kahienbergu, można wypić tradycyjną lampkę „Heuriger”, pochodzącego z pobliskich winnic i posłuchać starych wiedeńskich melodii. Drugi, żelazny punkt programu przy zwiedzaniu Wiednia stanowi pałac Schoenbrun, rezydencja cesarzy austriackich. Pałac pamięta jeszcze dawne, „dobre” czasy, kiedy zjeżdżały tu czołowe osobistości: monarchowie i politycy i radzili o losach imperium austro-węgierskiego, a nawet o losach całej Europy. Minęły czasy dawnej świetności wszechwładnych cesarzy i dziś pałac Schoenbrun posiada przede wszystkim charakter muzealny. Po wspaniałe urządzonej pokojach i salonach wprowadzają turystów rutynowani przewodnicy, z pietyzmem wskazując



na łóżko, na którym urodził się Franciszek Józef, biurko przy którym pracował i wielkie ciemne tożę, na którym dokonał swego cesarskiego żywota.

Wieczorem kiedy turyści występują z supernowoczesnych oszklonych autokarów i udają się na wycieczkę po ulicach miasta, wtedy dokonują nowego odkrycia.

Wiedeń piękny jest w czasie dnia, ale dopiero maquillage nocy dodaje miastu niezwykłego uroku. Wszystkie ważniejsze obiekty zabytkowe, rzęsiście oświetlone, przykuwają uwagę turystów. Nie można wtedy oderwać oczu od kopyły barokowego Karlskirche, która w świetle reflektorów lśni zielonkawym, fosforyzującym blaskiem. Gra świateł i cieni doskonale uwydatnia kształty klasycznej budowli parlamentu.

Ulice śródmieścia jarzą się tysiącami pomysłowych neonów, jaśnieją ogromnymi prostokątami okien wystawowych. Przytulne bary, urządzone według włoskiego wzoru tzw. „esspresso”, zachęcają do wejścia.

Jednakże, zgodnie zresztą z odkryciem starożytnych, natura ludzka pragnie „panem et circensis” i dlatego po kolacji turyści znikają całodziennym zwiedzaniem i zmęczeni satysfakcją płynącą z oglądania historycznych obiektów, chcą się „trochę rozzerwać”. Ale ta sprawa wcale nie jest łatwa. Opera, teatry, Prater — gigantyczne „wesołe miasto” z licznymi atrakcjami ze słynnym Riesenrad, lokale różnego typu od tradycyjnych wiedeńskich winiarni na Grinzingu do strip-teasowych lokali nocnych w

śródmieściu, tworzą tak ogromny wachlarz imprez rozrywkowych, że trudno zdecydować się na wybór. Wystawione przed kinami panoramicznymi fotosy, zachęcają do obejrzenia na ekranie bożyszcza rock and roll Elivisa Preslay, mistrzów jazzu Hamptona, Stan Kentona, Armstronga i innych.

Turyści z Polski skrzętnie obliczają szylingi, głośno zapewniają, że „muszą” zobaczyć wiedeński Burgtheater i... obowiązkowo idą na strip-tease do „Moulin Rouge” lub „Maxima”. Wybierzmy się więc razem z nimi.

W samym śródmieściu znajdują się wąska uliczka Bauhensteingasse, a ogromny czerwony neon — „Maxim” jest drogowskazem dla amatorów „strip-teasowego dreszczyku”. Wstęp i minimum konsumpcji wynosi przeszło 50 szylingów. Sam lokal jest nieduży i jak na „wiedeńskie możliwości” nie nadzwyczajnie urządzone. Jednakże magnesem ścagającym głównie zagraniczną publiczność jest paryski program strip-teasowy, który rozpoczyna się o godz. 10 wieczorem, a kończy się nad ranem. Przy wejściu wita nas kelner i prowadzi do stolika. Orkiestra gra mambo i na podium wchodzi Murzynka, ubrana w złośliwą suknię.

Rozpoczyna się występ. Murzynka tańcząc w oszołamiącym rytmie, zrzuca z siebie suknię, „dessous”, miota się po parkiecie jak ryba w sieci i wreszcie klanając się publiczności ucieka za kulisy. Od tej chwili występują „gwiazdy” strip-teasu zmieniając się jak w kalejdoskopie. Murzynki i Mulatki, Francuzki i Włoszki tańca, śpiewają, obnażają swoje wdzięki, znikają za kulisami i po kilku chwilach ubrane przychodzą do baru, do stolików po to, żeby nawiązać kontakt z gośćmi.

W przerwach między występami orkiestra gra calipso, a pośrodku parkietu popisuje się w tańcu jakiś podchmielony Amerykanin ściskając śliczną Kreolkę, która przed kilku minutami, w czasie występu, oczarowywała swoimi wdziękami publiczność. Ale już po chwili goście schodzą z parkietu i występy rozpoczynają się na nowo. Na podium ukazują się wysoka blondyna — siliaczka, która podnosi w górę mężczyznę. Ona również krzyczy występ obowiązkowym strip-teasem. Cóż, publiczność słono przecieła za to zapłaciła.

Po północy wchodzi na podium młoda kobieta w kostiumie kąpiel-



Rys. M. Wiśniewski

lowym z przyszytymi do niegoמושięnymi kółkami. W ręku trzyma pęk bambusów z haczykami. Bambusy wędrują do rąk gości i nowy numer programu rozpoczyna się w takt muzyki. Cała zabawa polega na uchwyceniu kółka na haczyk i ściągnięciu kostiumu z tancerki. W „zabawie” biorą udział starzy i młodzi, bambusy pochylają się w stronę tancerki. Wreszcie jakiś zręczny „rybak” kładzie kres temu niesmacznemu widowisku. Jest czwarta nad ranem. Lokal powoli pustoszeje. Jeźdźce przy kilku stolikach głośno bawią się w towarzysztwie strip-teasowych gwiazd zamożni turyści z oceanu.

Piękna Kreolka jest jednak sama, a jej partner gdzieś zniknął. Rozgląda się po sali, szukając nowej podpory finansowej, nowego partnera, który jej postawi butelkę szampana. Uśmiecha się i przesyła nam czarujące spojrzenia. Cichaczem wymykamy się na ulicę. Przechodzimy obok dużych, czarnych „Mercedesów”. Świta Jaskrawy blask neonów miesza się ze światłem dziennym. Na ulicach ukazują się pierwsze tramwaje, pojawiają się pierwsi ludzie śpieszący do pracy. Wstaje nowy dzień.

Wszystko dla pań

Jak pomóc kobiecie pracującej? Myślą nad tym najcięższe umysły w naszym kraju.

Gdyby wydłusnąć farbę drukarską ze wszystkich artykułów prasowych, które się ukazały na ten temat, utworzyłoby się spore jezioro jako jedyny — bodaj — efekt teoretycznych rozważań.

Najprościej byłoby pomóc kobietom w ten sposób, jak to niektórzy proponują: pozwalniać wszystkie z pracy i odesłać do domów. Niech wychowują dzieci i urzędują w kuchni. Słowem — Irene do domu.

Nie trzeba przekonywać o absurdalności tych tendencji. Wystarczy tu przypomnieć, że 2 miliony kobiet pracujących to jest pozycja w gospodarce narodowej. Nie może więc być mowy o „wycofaniu” ich ze stanowisk i pracy zawodowej.

Trzeba więc chyba w inny sposób uporządkować bałagan, jaki wytworzył się w życiu rodzinnym i domowym na skutek tego, że kobieta nie może podjąć wszystkim obowiązkom poza pracą zawodową.

Związki zawodowe postulu-

ją: „Zastosowanie pólatałów, lepsze zaopatrzenie sklepów i likwidację „kolejek”, unowocześnienie gospodarstwa domowego przez wprowadzenie do masowej produkcji i masowego zbytu po przystępnej cenie „robotów” kuchennych, pralek, lodówek i innych urządzeń oszczędzających kobiecie czas i pracę, także zorganizowanie pracy zawodowej, aby kobiety mogły więcej czasu poświęcić na zajęcie się domem...”

„Jednakże te zamierzenia zależą ściśle od sytuacji gospodarczej i staną się realne, gdy wzrośnie odpowiednio nasz dochód narodowy, co w niemałym stopniu uzależnione jest od samych kobiet, zatrudnionych przecież m.in. w produkcji będzie to następowało w miarę podnoszenia ich kwalifikacji, wzrostu wydajności pracy”.

Słuszne to, ale trochę zabawne, w końcu znowu kręcimy się w błędnym kole. Wydajność pracy kobiet uzależniona jest od fizycznej formy pracującej, jej warunków domowych A czy człowiek zaginiony, zmęczony, nie wyspany, przepracowany może wydajnie pracować?

Hasła o tyle są cenne, o ile odpowiadają rzeczywistości. Nie można więc odkładać ich realizacji, inaczej zawiąsną w próżni, zamienia się w „mowę-trawę”.

Weźmy dla przykładu podobórko łódzkie.

Wiceminister handlu wewnętrznego, gdy zabrałam głos w tej sprawie powiedział, że niezbędne są: właściwe zaopatrzenie sklepów, sklepy samoobsługowe i garmazerie. Pięknie. W Łodzi mamy te garmazerie wytwarzające potrawy półgotowe i gotowe. Za ile jednak? Przejście z potrawy kosztującej 80 proc. drożej niż „surowiec”. Dla kogo to panie Ministrze?

W Łodzi zarobki nie kształtują się wysoko. Która z 70 proc. zatrudnionych w przemyśle włókienniczym kobiet zaopatruje się w garmazeryjne kotlety schabowe z tego tylko powodu droższe, że poćięte? Która kupuje za 38 zł kilogram smażonej wątróbki (któ zresztą słyszał o takim specjale w gotowej formie — co to warte, jeżeli nie podane prosto z patelni?), kto kupuje nożki w galarecie (zresztą fatalnie niedogolone)?

Codziennie przed sklepami mięsnymi od rana stoją kobiety. Niepracujące. Te,

które mają czas czekać do godz. 10 — 11 na „zaopatrzenie”. A „zaopatrzenie” przywozi półcie boków, szynkę, tłustych i paskudnych mięs oraz na okrasę parę kilo cielecej lub wołowej „atrakcji”. Kością niezgody między klientkami stają się te atrakcje. No, a pracujące kobiety ani przed pracą, ani po pracy nie dostają nic z tych „smakolek”. A podobno? Sennie marzenie. Wszystko idzie do garmazerii i do restauracji, gdzie odpowiednio spreparowane zdobi stoły moźnych y gotówkę. Reszta je... głównie w kapuśniaku. Nawiasem mówiąc, głów to nasze świni nie mają chyba ostatnio wcale.

Garmazerie? — zgoda. Niech tam trafiają te „24 tys. tony zaplanowane”, z tym, że kalkulację powinna wytrzymać kieszeń człowieka mało zarabiającego.

To samo dotyczy nowych tysięcy litrów kompotów i innych przetworów, które robione w domu kosztują 5 zł, a nie 15 zł za litr.

Minister Przemysłu Drobego i Rzemiosła pocieszył nas, mówiąc, że produkcja w roku przyszłym wzrośnie o 1.300 mln. zł: (pralki, maszyny do szycia, lodówki elektryczne, kucharki gazowe, froterki, odkurzacze, wózki, stolnice itp.).

Ale... dalej pan minister mówił o trudnościach surowcowych.

I znowu rodzi się niepewność: będą w planie czy w sklepach? Bo, na razie nawet ci z pełną kieszenią stoją w kolejkach zarejestrowani w jakiejś nie z tej ziemi księdze kolejkowiczów i czekają... I kiedyż te pralki znajdą się w dostatecznych ilościach chociaż w wypożyczalniach sprzętu domowego?

Pralnie. Można by z nich korzystać, gdyby prały szybko i dobrze, a one „chechają” białiznę, drą i doprowadzają do ziemistej barwy. O terminach — szkoda mówić. A jeżeli są ekspresowe pralnie kosztują, to znowu nie dla „mas”, bo biora powyżej 5 zł za sztukę.

Można by tak w nieskończoność wylizywać wszystkie „pomocze” (stołówki, restauracje, punkty usługowe) i okazałoby się, jak powyżej, że każda z nich sprawia więcej kłopotów niż ulgi. Krótko mówiąc: trzeba dokonać międzyresortowego przeglądu stanu posiadania i zamiarów na przyszłość, a zamiast dokładać miliony złotych do deficytowych placówek (np. niektóre kawiarnie w Łodzi), polikwidować nierentowne przedsiębiorstwa, a otwierać potrzebne. I jeżeli już coś utrzymywać w deficycie, to z pożytkiem dla społeczeństwa. Jeżeli tworzy się sieć usług, to chyba usług rzetelnych, a nie namiastek statystycznych.

Liga Kobiet wyszła już z okresu działalności, mającej na celu: „uaktywnienie dołów kobiecych”. Proponuje, żeby kobiety zrzeszone w tej organizacji przejęły inicjatywę w swoje ręce, i z gospodarską znajomością rzeczy podjęły współdziałanie z wszelkimi resortami od ministerstwa do agend rad narodowych w celu doprowadzenia do ładu wszystkich placówek, które służą pomocą kobiecie pracującej. Bo perspektywy na lata przyszłe są piękne. Ale... nie samymi perspektywami człowiek żyje.

KOBIETO — KOBIETO

JUŻ WKRÓTCE WIOSNA! CZAS POMYŚLEĆ O SOBIE!

„ONDULAN”

najnowszy płyn uniwersalny do trwałej ondulacji na zimno. PRODUKCJI ŁÓDZKIEJ WYTWÓRNI CHEMICZNEJ

Tylko używanie płynu „ONDULAN” zapewnił może zawsze staranne i eleganckie uczesanie.

NIE NISZCZY WŁOSÓW

ZAPEWNIĄ ICH PUSZYŚCISĆ

LATWY W UŻYCIU I TANI

Każda szklana butelka 100 ml i słoik 200 ml z instrukcją obsługi „ONDULAN”

Pamiętajcie „ONDULAN” do osoby

w Drogeriach i Składach Aptecznych

Cena 12,— zł wraz z opakowaniem. Żądajcie zawsze!

Piękny kwiatek a nie pachnie

Przed paroma dniami odwiedziłem Galewicę. Wieś leży za Wieruszowem, w województwie łódzkim jeszcze, ale bliżej stamtąd do Wrocławia niż do Łodzi. Szeroka, przestronna świetlica, słabo oświetlona naftową lampą, była „wypełniona” ludźmi. Mówiłem o pracy pisarza, poruszyłem zagadnienie stosunku pisarzy do problemów dnia dzisiejszego, przytaczałem przykłady. W świetlicy panowała niczym nie zamącona cisza. Słychać było tylko głos prelegenta, z mroku wylaniały się nieruchome cienie słuchaczy. Potem padły pytania, jedne za drugimi. Pewna dziewczyna wyznała, że we wsi po raz pierwszy gościła prelegenta, który mówił o literaturze.

W zasadzie smutne to wyznaczenie i nasuwa wiele gryzących analogii. Na moim biurku leży mapa naszego województwa. Do niedawna oznaczałem na niej miejscowości, w których wypadło mi wygłaszać prelekcje. Od paru miesięcy przestałem znakować mapę — wkrótce trzeba by przy każdej wsi namalować jakiś rysunek.

Rzućmy okiem na mapę. Czarne kółko przy Kłomnicach; wieś uroczna, położona przy pięknej szosie, stacja kolejowa na miejscu, nowy okazały Dom Kultury. „Piękność zwierzenia omylna” — powiada przysłowie i chyba dlatego każdemu wystopowi, każdej niemal prelekcji towarzyszą wycieczki „nieznanych” sprawców, wyłamywanie drzwi itp. Czarny znaczek obok Leźnicy Małej; wspomnienie świetlicy z powybijanymi szybami, zrujnowaną sceną. Podobne kółka obok Prądzewa, Błonia, Koryt, Bjesiekier... Trójkąt w Jezewie; kierownik szkoły oświadcza, że po raz pierwszy zjawiał się tutaj „ktoś od literatury”. Podobnie jak w Galewicach i innych wsiach. Czarne kółko w Grabowie; wspomnienie młodej bibliotekarki, marzącej w nieopalonym pokoiku, wydającej książki, organizującej występy pisarzy, odprowadzającej prelegentów na bezradnie smutny rynek do

przystanku PKS... słowem pracującej ofiarnie za „jedynie sześćset złotych”...

Do Wieruszowa jechałem razem z kilkusobową grupą aktorów. Tiukliśmy się sto czterdzieści kilometrów w ciężarówce. Nikła żaróweczka zawieszona u sufitu dawała taki sam blask jak lampa naftowa w Galewicach. Nasze występy również można porównać do owych słabych żarówek. Metafora nienajszczęśliwsza, ale oświetlająca problemy życia kulturalnego prowincji. Ileż listów codziennie przynosiła do redakcji gazet i radia, wyrażających żal, że Teatr Ziemi Łódzkiej nie może obsłużyć wszystkich wsi, że są miejscowości, w których nie stanęła „noga prelegenta”, że są nawet miasteczka, w których nie pokazal się przedstawiciel świata literatury.

Ludzie nie chcą wracać do owych wieczorów zimowych, które opisywali przedwojenni adepci nauk społecznych, do smutnych niedziel, „gdy cała rodzina jest w domu, śpiewa się pieśni kościelne albo drze pierze. Niekiedy ojciec opowiada różne przejęcia z lat młodych, jakieś w świecie usłyszane bajki o duchach, strachach na drodze”... i na tym kończą się „rozrywki umysłowe” niejednej rodziny chłopskiej i małomiasteczkowej. Ludzie nie chcą być ilustracją opisu młodego socjologa, który stwierdza, że „rodzina IKS nie abonuje żadnej gazety, że nie kupuje nawet kalendarza, bo „na to wszystko szkoda pieniędzy”.

Na szczęście są na mojej mapie czerwone kółeczka. W Dziezbietowie, Smardzewie i Solcy Wielkiej chłopcy wybudowali Domy Ludowe, Domy Strażaka, w których rzy znajdują się obszerne świetlice. Można wymieść kilkanaście wsi, w których tego rodzaju obiekty są w budowie. W Piatku, Sledcu i Daszynie doskonale prosperują amatorskie zespoły teatralne. Rozwija się praca teatralna w szeregu innych wsi, jak w Gawronkach, w Błoniu, Piekarach, Powiatu.

we Domy Kultury, jak w Łęczycy czy Radomsku, nawiązują coraz mocniejsze więzy z terenem.

Nad „zagubioną” w powiecie wsią i małym miasteczkiem rozciąga się to samo, co ongiś niebo, na którym „ksieźyc chodzi srebrne chusty prać”, ale wieś już jest nie ta sama i ludzie nie ci sami, co przed dziesięciu czy piętnastu laty. Wprawdzie przysłowie głosi: „Piękny kwiatek, a nie pachnie”, ale powiedziano też, że „do stroju i do malowidła nie ogranicza się kultura ludu”. Ani wieś, ani organizatorzy życia kulturalnego nie mogą budować sztywnych schematów. Co jakiś czas pojawia się zadanie — pojawiło się ono i teraz — „przewartościowanie dotychczasowej oceny poczynił w pracy kulturalnej”, „spojrzenie z innego punktu na rejestrowane z dawna fakty”. Oczywiście, nie można mechanicznie stosować skompromitowanego schematu — podsyłania wyłącznie centralnego ogniska, które laskawym ogniem „zapala prowincję”. Okazało się, że życie doskonale może zakwitnąć „daleko od Warszawy” i „daleko od Łodzi”. Cenniejsze jest dla mnie spotkanie w Galewicach niż uroczysta pompa w Łodzi. Niezręcznie jest przelewać wino z dzbanka do dzbanka. Lepiej jest umieścić podsycać te pomysły, które zaczynają buziwać na dalekiej wsi czy w dalekim miasteczku. Zamiast instalować brzydki neon na Piotrkowskiej za kilkadziesiąt tysięcy złotych, albo organizować bzdurne widowiska wyborów „królowej piękności Łodzi”, lepiej jest pomyśleć o właściwej dystrybucji książkowej, o zaprojektowaniu kulturalnych usług, budowie nowych placówek teatralnych w małych miastach, o skończeniu z apostołskimi wyjazdami w teren, które są oczywiście cenne i wzruszające jak w „alkie” „schodzenie w naród”, ale jeszcze się na świecie nie zdarzyło, żeby prelegenci z dużego miasta zdołali zastąpić terenowych działaczy.



Podczas pokazu kolekcji w domu mody zostaje okradziona jedna z klientek.



Natalia jest śledzona przez agenta policji, Francka. Na zdjęciu scena rozmowy w barze.



Mąż okradzonej hrabiny udziela wywiadu policji. Nic nie wie...



Zamknięta w piwnicy Natalia planuje ucieczkę...

Najnowszy
film
Christiana
Jaque

Natalia

Christian Jaque (twórca m. in. wstrząsającego filmu pt. „Gdyby wszyscy ludzie dobrej woli”) zrealizował niedawno komedię detektywistyczną, z Martine Carol w roli tytułowej.

„Natalia jest modelką w ekskluzywnym domu mody, będącym własnością p. Borana. Podczas pokazu zostaje okradziona jedna z klientek, piękna hrabina. Brylantowy klips — brosza znika bez śladu, a wezwana policja jest bezradna. Podejrzeni są wszyscy. Najbardziej jednak uroczą modelką, Natalia. Śledzi ją agent policji, Franck.

Oburzona Natalia opowiada całą historię w barze. Nagle zauważa, że barman przylepił pod blatem gumę do ściany. To spostrzeżenie kojarzy się w głowie sprytniej modelki z innym faktem, zauważonym podczas pokazu. Siedzący za hrabiną mężczyzna też żuł gumę...

Natalia wraca do salonu Borana. Znajduje klips przyklejony pod krzesłem i chowa go do torebki. Ale sprawa wika się fatalnie. Hrabina zostaje zamordowana, a Natalię porwują szajka bandytów. Zostaje ona uwięziona w piwnicy podejrzanego domostwa, w sąsiedztwie trupów. Ucieka stamtąd, Chee jednak sama wykryć sprawców zabójstwa i kradzieży. Lawiruje więc między szajką a policją, która też zamierza ją schwytać. Aż wreszcie Natalia jako detektyw zdaje egzamin na piątkę! Banda zostaje ujęta razem z przynależną, którym okazuje się... Boran, właściciel domu mody. Ożwiżna dziewczyna zaś, zostaje uwięziona... w ramionach młodego agenta, Francka, który — jak z tego wynika — interesował się nią nie tylko ze względów służbowych...

Zdaniem krytyki francuskiej Martine Carol jako Natalia dała pokaz świetnej gry — pełnej ekspresji i wdzięku.

Opr. Eze (wg „Heures Claires des Femmes Françaises”)

SEJM PIEKIELNY

Dokończenie ze str. 1

Co je tam gdzie nie trzeba sprośnie obracają.
Co by na to poczciwiej obracać się mogły
A potrzebnej Koronie wzdryby też pomogły.
Budują wciąż rozlicznym kosztem dziwne dwory
Osobliwe kształtami, w osobliwe wzory.
Pojrzyj na te pałace, na wystawne zamki
Na ony dziwne miasta, na upstrzone ganki
Na ony alabastry, na ony marmury
Więc na wieże wysokie, na ozdobne mury!
Alić to z małym czasem wszystko się rozleci
Ze tam ledwo zostaną jedno marne śmieci.
Więc też oni panowie co w tych ścianach siedzą
Kiedy je mróz powarzy, ani sami wiedzą.



SMÓŁKA

Waszmości moje uklona, panie Luciferze.
Smółka idę do Polsce, od mojej macierze.
Terazechto porządek chcą wprowadzić nowy
Jedno by się starali — będzie Polsce zdrowy
Ale miasto naprawy każdy patrzy swego
Bogdaj nigdy nie było ludu takowego
Bo Polaczków najmilsza naturka rozkoszna
Tak prawie z przyrodzenia jest pani Kokoszna.
Wielec teraz już swobód w tej polskiej Koronie
Cóż, gdy się nie starają i nie dbają o nie.
Przeważają prywatnych pożytków cheiwości
Barziej dbają o włości, niżli o wolności.

Więc dziś pomiędzy nimi są takowe glosy:
„Znijmy złotą pszenicę, znijmy złote kłosy
Dojmy Rzeczpospolitą, rzeźmy złote grona
Wszak bogata winnica, nabrane wymiona”.
A mili Polaczkowie, ci co rozum mają
Widząc pewny upadek, na co to czekają?
Ano i nędzne żwirze, kiedy zły raz czuje
Jakoby go ominąć pilnie wypatruje.
Lecz oni wciąż o cudzych nowinkach pytają
Im ledwo plot nie gore, a wzdry nic nie dbają.
A są, słyżę, doradcy, nie wiem jakiej wiary
Co by radzi wprawili ich w jakieś pomiary.

ASMODEUS

Tere bzdere Luciferze mój laskawy panie
Upilem się jako świnia nie dałem nic za nie.

Byłem w Polsce, Polaczkowie tak mnie ugościli
Z karczmy w karczmy mnie ciągali i pięknie spoiłi.
Popoiłi winem, piwem, nalewką i miodem
Zarliśma tam dobrodzieju i nie marli głodem.
Już to trunki ze szczeniem ich całkiem pobłaźniły
Stare, młode się opiwszy chodzą jako wily
A co by ich zdobić mogło zacnem sprawami
To to wszystko precz zdmuchają wespół z pijakami.
Trzęsą się więc tam apteki, tłuką się mózdzierze
A Polaczek cny w półmiskach, chlejąc, sobie gmerze
U nich w Polsce, by każdego pijanego stłuc miano
Ledwo by kijaszaków z lasa dostatek dostano.
Więc co trzeźwo byłem diabłem dobrym i pokornym
Tak się stałem pijanicą, lotrem, frantem dwornym.
Przyjmij tę wieść w upominku
Z Kurwanowa kurwi synku.



Niezliczoną ilość razy sprytna modelka (Martine Carol) ucieka zlochycom.



Czy taki finał filmu naprawdę jest niespodziewany?



JAN KOPROWSKI

CO SIĘ DZIEJE NA TEATRUM

Fragmety ballady romantycznej

Stary aktor

Stary aktor przyprawił brodę. Jest zbyt młody by siebie tylko zagrać, gdy grać trzeba innych. Być aktorem to znaczy iść z czasem w zawody i bierną starość zmieniać w młodości wiek czynny. Stary aktor wspomina: grywałem niejedno i na niejednej scenie serce zostawiłem. Lata mojej młodości jak liście nie więdną, choć czas nie zapisuje, czym w te lata byłem.

Rozterki

Co począć z tym wieczorem, mistrzu Sewerynie, w żalobnym kapeluszu, w czarnej pelerynie? Dokąd pójść? Gdzie się udać? Jak uciec przed snami, które nam zabiegają drogę gromadami? Od siebie nie uciekniesz. Musisz zostać w sobie, być tragicznym w radości, wesołym w żalobie. Twój smutek pojedynczy, twa kropla rozpaczy wiele znaczy na świecie i nic już nie znaczy.

Pożegnanie

Żegnajcie przyjaciele. Kurtyna zapadła. Umilkły garderoby. Cisza płynie z sali. Jest późna noc. Na scenę wstępują widziadła. Więć sztuka nieskończona: gra toczy się dalej. Błądzą za kulisami, jak lunatyk senny. Z mroku się jak ze studni głosy dobywają. Co noc przeżywa teatr swój los nieodmienny: gdy aktorzy odchodzą — duchy za nich grają. Łódź, w listopadzie 1957 r.



Maria Kozłowska jako żona w „Ich czworo” Zapolskiej w Teatrze Nowym. Fot. J. Neugebauer

Urodziłem się w czasie pierwszej wojny światowej, dojrzałem w czasie drugiej. Wzrost — średni, brunet, znaki szczególne: nieszczegółne.

Wydalem pięć książek: dwie powieści i trzy zbiory wierszy. Najchętniej jednak wydaje pieniądze, których ciągle mi brak. (Gdybym miał tyle, ile wydaje, miałbym więcej, niż mi potrzeba).

Najbliższe plany: ogłoszenie zbiorku wierszy „W tym kraju”, wyjazd za granicę, kupienie sobie ubrania, zapłacenie weksla. Moje ulubione zajęcie: nicnierobienie.

Jan Koprowski

Polacy

Francuzi są weseli, Niemcy — pracowici, z rozsądku słyną Czesi, ze sprytu — Rosjanie. A czym się pośród innych nasz naród poszczyci? Z czego Polacy słyną — oto jest pytanie.

Polacy bić się lubią i umierać skorzy, żołnierskie życie wiedli w siodle i okopie. Skrawka ziemi, gdzie Polak kości by nie złożył, już nie odnajdziesz dzisiaj nigdzie w Europie.

Bili się o Lenino, o Briańsk i o Wiaźmę, o Tobruk i Wogezy, o Monte Cassino. Cudze uznali ziemię jako swoje własne, wszędzie, gdzie było można, „siedli żołnierzy i ginął”.

Oplakaly śmierć synów — matki, mężów — żony, na grobach trawy bujne porosły i zboże. Świat o wszystkim zapomniał, gdy umilkły dzwony, tylko ojczyzna biedna zapomnieć nie może.

Felieton historyczny z aktualną fasadą

„Witasz mnie, mój drogi, o sprawy muzyczne Łodzi. Bardzo obszerny to temat. Zważ, że nasze miasto z przystawowego Kopciuszka awansowało po wojnie na jeden z ważniejszych ośrodków muzycznej kultury. Szczyci się Filharmonią, Operą, dwiema orkiestrami radiowymi, Operetką... Jeśli dodasz do tego szkolnictwo muzyczne wszystkich stopni, będziesz musiał przyznać, że lista instytucji wprzęgniętych w rydwan Polihymni mówi już sama za siebie. Trudno o tym wszystkim napisać w jednym liście. Mam z miejsca zmartwienie — od czego zacząć? — Wszystko ważne! Najstarszą w Łodzi, (choć jeszcze bynajmniej nie sędziwą) placówką muzyczną jest Filharmonia. Od niej więc zaczniemy nasz muzyczny spacer, abys obojętnie postuchał naszych symfoników. Pozwól jednak, że poświęcę kilka słów dawniejszym czasom...
* * *

Nie pomnę jak nazywała się dawniej ulica Narutowicza, ale od pół wieku co najmniej stoi tam pod numerem 20 wdziedzna budowla, której wygląd wprawia każdego rodowitego łodzianina w rodzaj łagodnego osłupienia. Ten cud nowoczesnej architektury, wciśnięty między dwie typowe czynszowe kamienice, musi budzić podziw dla swej odważnie zarysowanej, estetycznej sylwetki. Fasada wspina się do czwartego piętra na zgrabnych półkolumnach; interesująco rozpięte łuki i przemyślnie rozmieszczone gładkie płaszczyny dopełniają efektownej całości.
* * *

Za tym pięknym frontonem kryje się siedziba łódzkiej Filharmonii. Kiedyś, nazywano ten przybytek po prostu „salą Vogla” — odbywały się tu wszelkiego autoramentu imprezy, od zawodów bokserskich, poprzez zabawy taneczne do seansów filmu niemego włącznie. Interes nie-że prosperował, strumień brzęczącej monety wartko płynął do kieszeni przedsiębiorczego właściciela. Muzy nie zawsze same wybierają sobie mieszkanie, toteż kiedy grupa zawziętych melomanów postanowiła w 1915 roku zorganizować orkiestrę symfoniczną — młodzieżkiej łódzkiej Polihymni przydzielono tam właśnie sublokatorską kwatery. W powodzi atrakcji „widowiskowych”, koncerty stanowiły oczywiście tylko skromny margines. Niemniej już wtedy — przed 43 laty

„filharmonicy in spe” zainaugurowali swój pierwszy sezon symfonią Kalinnikowa.

Nie był to jeszcze ani normalny sezon, ani normalny zespół. Członkowie orkiestry grali zawodowo głównie w przybytkach służących rozkoszom podniebienia i wielkiej sztuce kulinarnej. (Były to bowiem zamierzalne czasy, kiedy w restauracjach łódzkich jadano się smacznie i wymyślnie). Na próby i koncerty symfoniczne muzyki zbiegali się dorywczo i — na dobrą sprawę — honorowo. Impresario wynagradzał ich wysiłkiem w zależności od wpływu kasowego i od tzw. dobrej woli.

Tej „dobrej woli” starczyło nieraz ledwie na opłacenie przejazdów tramwajowych.

Trzeba więc było naprawdę szczeremu zapalu orkiestrantów i ówczesnego dyrygenta Tadeusza Mazurkiewicza, aby w tak niepomyślnych warunkach nie poszła na marne piękna inicjatywa. Tymczasem — wbrew trudnościom — zespół cementował się coraz bardziej i zapisywał nawet na swoim koncercie artystyczne sukcesy. Z czasem posunięto sprawę tak dalece, że dyrygowali w Łodzi Abendroth, Mascagni, Neumark, Bierdiajew. Koncerty uświetniał swym udziałem wirtuoz światowej sławy, jak Huberman, Flesch, Backhaus, Petri. Kilkakrotnie występował też na łódzkiej estradzie wielki Artur Schnabel, który do dziś zachował zrozumiwały sentyment dla naszego miasta, jako że urodził się w bezpośrednim sąsiedztwie Filharmonii — przy ulicy Wschodniej...
W latach trzydziestych przybył symfonikom groźny konkurent: nocny lokal „Tabarin”, który uplasował się na parterze gmachu i zastąpił z przeróżnych atrakcji aż do zgrabnej „ustugi” włącznie. Biedna Polihymnia nie mogła — rzecz jasna — wytrzymać takiej konkurencji i z pierwszej przedwojennej (były i powojennej) rundy „Bach contra Bachus”, musiała wyjść pokonana.

Mimo, iż sala Filharmonii służyła nie tylko Bachowi, ale również innym rozrywkowym celom — interes szedł coraz gorzej. Pewnego dnia gruchnęła po mieście wiadomość, że dzierżawca lokalu wobec perspektywy plajty powiesił się na strychu. Powiadają, że przed śmiercią długo wpatrywał się w fotografię frontonu Filharmonii, po czym zszedł z tego świata bez zalu...
JANUSZ CEGIEŁA

TYLKO DLA NAIWNYCH!

RZECZY ZMYŚLONE

Czysta pieśń i brudna pieśń

MARIAN PIECHAŁ

Sen i rzeczywistość, myśl i jej realizacja, teoria i praktyka, to — jak dotychczas, niestety! — czysta pieśń i brudna pieśń. Tak jest, proszę ja was, czysta pieśń i brudna pieśń. Czysta pieśń tęsknoty nad brudną pieśnią życia unosi się od wieków i znajduje swój wyraz w wielu dziełach rąk ludzkich, myśli i natchnienia. I mimo że pod pieśnią życia milkenie nieraz pieśń tęsknoty, jednak nigdy nie zamiera. Pieśń tęsknoty do czego lub za czym? Do tego lub za tym, żeby nie było pieśni w życiu. Tak jest, proszę ja was, żeby nie było pieśni w życiu, lecz żeby się została i była w życiu sama pieśń. Tak jest, proszę ja was, sama pieśń.

Ale, mój Boże, zastanowił się poniekąd, czy to możliwe, żeby w życiu mogło być bez pieśni? Wszak pieśń, to jednak życie, a pieśń to tylko sen, marzenie, tęsknota, ostatecznie wspomnienie o życiu? Ale przez to właśnie też życie, tak zwane życie wewnętrzne, oczyszczone od pieśni życia zewnętrznego. I przez to właśnie nadające wiarę życiu w ogóle. Tak jest, proszę ja was, czysta pieśń to miara i ocena i osąd brudnej pieśni czyli życia.

Powie ktoś: dobrze, ale czy nie można by tego odwrócić — życie uczynić miarą pieśni? Wszak, jeżeli nawet zgodzić się na to, że życie to pieśń, to niekoniecznie zaraz trzeba się zgodzić, że ta pieśń musi być brudna? Boć i penicylina, jak wiadomo, jest pieśnią, ale pieśnią czystą, tak jest, proszę ja

was, czystą, jako środek antyseptyczny czyli odkażający.

Otóż właśnie pieśń służy ku temu, aby tę pieśń pozabawić jej brudu i w tym znaczeniu życie może i powinno być miarą pieśni. To znaczy życie uznaje tylko taką pieśń, która oczyszcza je z jego brudu, uzgadnia praktykę z teorią, harmonizuje realizację z myślą, przybliża rzeczywistość do ideału czyli do snu, marzenia i tęsknoty. Tak jest, proszę ja was, przybliża rzeczywistość do ideału czyli do snu, marzenia i tęsknoty, którą wyraża pieśń.

Twórcą najpiękniejszych pieśni od początku dziejów ludzkich i na całej kuli ziemskiej był i jest lud, bo jedynie lud najzarliwiej śni, marzy i tęskni o życiu i za życiem bez brudu, za rzeczywistością zbliżoną do ideału. Kto walczy o zbliżenie rzeczywistości do ideału, ten choćby nawet nie wiedział o tym jest z ludem. A co robi poeta, artysta, uczonec, pracownik umysłowy, działacz społeczny, rzemieślnik, zwykły robotnik? Możliwie, z dnia na dzień, w miarę swych sił, i uzdolnień zbliża, każdy w swej specjalności, rzeczywistość do ideału. Realizuje więc sny, marzenia i tęsknoty ludu czyli triumf czystej pieśni nad brudem pieśni. Tak jest, proszę ja was, triumf czystej pieśni nad brudem pieśni.

W okresie rozbiorów naszego kraju niewola była pieśnią, zaś dążenie do niepodległości pieśnią ówczesnego życia, bo w tym dążeniu do niepodległości lud brał pełny udział. Ale i w okresie dwudziestolecia międzywojennego życie było pieśnią, bo niepodległość nie

była pieśnią czyli pełnym udziałem ludu. Tak jest, proszę ja was, nie była pieśnią, czyli pełnym udziałem ludu.

A jak jest dziś? O, tutaj dotknęliśmy samego sedna sprawy, najbardziej wrażliwego i drażliwego punktu między czystą pieśnią a brudną pieśnią dnia dzisiejszego. Bo niepodległość jest pełnym udziałem ludu, a jednak nie jest jeszcze całkowicie czystą pieśnią. Dlaczego? Dlatego, że z niedawnego okresu dwudziestolecia międzywojennego, i z dawniejszego okresu rozbiorów naszego kraju, i z jeszcze dawniejszego okresu przed rozbiorem wiele, bardzo wiele brudnej pieśni wmlaszło się do czystej pieśni naszego ludu, który zresztą nie jest przecież aniłem i wytwarza swą własną pieśń, dodając ją do odziedziczonej i razem przewyższając ją w codziennym swoim wysiłku, ale jeszcze jak dotąd całkowicie jej nie przewyciężył.

Więc kto uczuły staje dziś po stronie ludu i z ludem, nigdy zresztą nie mógł stać gdzie indziej i być z kim innym, jeżeli tylko bliższą mu była czysta pieśń niż brudna pieśń. Z tą brudną pieśnią naszego życia trzeba walczyć niezłomie aż do końca, czyli aż do pełnego zwycięstwa czystej pieśni naszego codziennego trudu, naszych jasnych myśli, snów i gorącego serca. Bo jak powiedział Mickiewicz: „Jeszcze północ mrozem dmucha, z gór białe nie zeszy pieśń”. I mimo, że są białe, to właśnie dlatego są brudne. Tak jest, proszę ja was, mimo, że białe, to właśnie dlatego...

Brawa po spektaklach



Jovan Sterija Popović — „Nadęta parweniuszka”. Dara Calenić (Anficia) i Mirjana Banjac (Evica)

Leton ten jest niewątpliwie spóźniony. Kiedy ukaże się w druku, nasi mili jugosłowiańscy goście będą już grać w Krakowie czy w Warszawie, lub nawet w swym rodzinnym Nowym Sadzie. Mimo to chciałbym rozdzielić moje, jak najbardziej osobiste brawa pomiędzy tych, którzy Serbski Teatr Narodowy sprowadzili do Polski, a tych, którzy wystąpili przed nami na scenie Teatru Nowego. Daleki od przestrzegania praw staropolskiej gościnności, nie zalecam wszelako gwizdania i plucia na podłogę w teatrze. Tak więc, gwizdów nie będzie. Co najwyżej oklaski rzęsiście i szczerze staną się cichsze nieco i skromniejsze.

Brawa najgorętsze otrzymać winno kierownictwo Teatru Nowego. Kazimierz Dejmek i Jan Koprowski za wszelką cenę usiłują nas, biednych prowincjuszy, przerobić na Europejczyków, czy to przez pokazywanie nam obyczajów szwajcarskich miasteczek, Hemara i Odolskiej, czy — jak tym razem — przez sprowadzenie teatru z pięknej, rodzinnej Europy.

Są na pewno — a przynajmniej można to powiedzieć o większości z nich — znakomitymi aktorami. W tym miejscu oklaski moje brzmią naprawdę bardzo głośno i bardzo szczerze. W trzech spektaklach teatru z Nowego Sadu, które mogłem zobaczyć, kilka co najmniej ról zagrzanych zostało znakomicie. Przynam co prawda, że nie gustuję specjalnie w tej szkole gry aktorskiej, którą zaprezentowali nasi goście. Jest to szkoła, którą możemy oglądać w większości naszych teatrów, szkoła, której mistrzami niewątpliwymi są aktorzy rosyjscy. I w Jugosławii wydaje się być ona rozpowszechniona szeroko. Podobny styl gry mieli bowiem możność podziwiać ci, którzy widzieli spektakle grającego u nas bodajże przed rokiem teatru z Lublany. Fakt, że ponad aktorstwo, oparte na przeżyciu, przekładam aktorstwo umowy i sztuczności, nie może zasłonić mi doskonałości poszczególnych replikacji. Artyści z Nowego Sadu, mniejsza niż ich rosyjscy mistrzowie wagę przykładając do wystudiowanego gestu, pokazali nam kilka ról świetnych, przeżytych głęboko — niekiedy może zbyt głęboko — ról, których nie waham się nazwać kreacjami. Myślę tu przede wszystkim o znakomitym Borisie Kovaću (Rużyczka w „Nadętej Parweniuszce” i Kapo w „Himmelkommando”), Djordje Jelisiću (Zielony w „Himmelkommando”), Mirjanie Banjac (Evica w „Nadętej Parweniuszce”),

Rade Kojadlinoviću i Vitomirze Ljubiću.

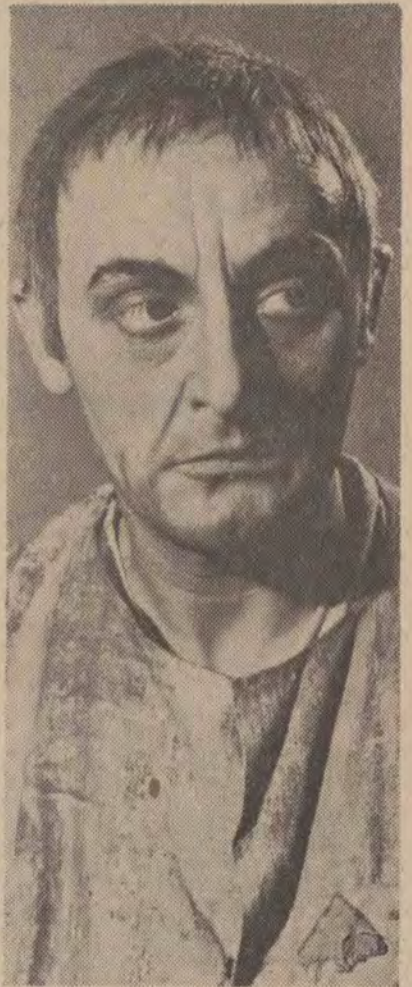
Oklaski równie szczerze należą się także reżyserom i scenografom teatru. Zrobili oni wszystko, aby klasyczną dramaturgię serbską

przybliżyć współczesnemu widzowi — a więc i nam także. I nie jest na pewno ich winą, że to zbliżenie, tu, u nas, nie zawsze mogło dojść do skutku. Nie wahałbym się bowiem zakwestionować sensu pokazywania poza granicami kraju ojczystego, sztuk ściśle związanych z krajem tego obyczajem i kulturą. Próby prezentowania obcemu widzowi dzieł, odwołujących się do tradycji i obrzędów narodowych, zazwyczaj, niestety, są chybione. Święty poeta angielski Stephen Spender pisał kiedyś, rozważając kwestię przekładalności wierszy Walijczyka, Dylana Thomasa, o celnie chyba zaobserwowanym zjawisku dzielenia się kultur narodowych na dwa nurtu: nurt międzynarodowy, który może dzięki swej uniwersalnej problematyce i pewnym uproszczeniom językowym — znaleźć oddźwięk poza granicami kraju, w którym powstał, i nurt drugi, ściśle narodowy, nieprzetłumaczalny na skutek odwoływania się do prowincjonalnych obyczajów i takiegóż słownictwa. Niestety, to nie tylko my usiłujemy — oczywiście bezskutecznie — eksportować naszego Fredę. I nie tylko my uważamy za nasz święty obowiązek zapoznanie Europy i globu całego z tym to właśnie drugim, prowincjonalnym nurtem kultury, XIX-wieczny pisarz Sterija, autor „Nadętej Parweniuszki”, nazywany „ojcem serbskiego dramatu” czy nawet „ojcem serbskiej literatury” zapewne niewiekszy oddźwięk może znaleźć u cudzoziemców, niż nasza komedia rybałtow-

ska lub Kochanowski, ojciec polskiej dramy. Nie ludźmy się, że obokrajowiec zainteresuje się związkami „Odprawy posłów greckich” ze stosunkami politycznymi i gospodarczymi w Polsce XVI-wiecznej. I że — nie znając języka naszej współczesnej poezji — dozna tego wzruszenia, które nas ogarnia, kiedy zbliżamy się do źródeł tego języka i słyszymy: **O białoskrzydła morska pławaczko, Wychowanico Idy wysokiej...**

Tak więc, oklaski dla klasyków serbskiego teatru i dla tych, którzy zdecydowali się pokazać nam ich właśnie dzieła, brzmią już — Państwo to słyszą? — słabiej nieco.

Gorąco oklaskuję natomiast pomysł pokazania nam sztuki dwóch młodych pisarzy, Djordje Lebovića i Aleksandra Obrenovića, zatytułowanej „Himmelkommando”. Ten dramat, mówiący o siedmiu ludziach, poddanych ciśnieniu, którego człowiek nie jest znieść w stanie, napisany został z tą dozą okrucieństwa wobec swoich bliźnich, jaką znaleźć możemy w opowiadaniach Tadeusza Borowskiego czy Leo Lipskiego. „Himmelkommando”, świadczy jak najlepiej o współczesnej literaturze dramatycznej Jugosławii. A więc raz jeszcze — gorąco oklaski dla autorów i realizatorów sztuki, którzy pokazali nam wspólny los Europejczyków, mieszkańców Łodzi lub Nowego Sadu.



Vitomir Ljubić jako Polak Prominent

Tajniki wywiadów gabinetów i wydarzeń XX wieku

Dr Eugen Dollmann, osobisty pełnomocnik Himmlera we Włoszech, nerwowo nakręcał tarczę aparatu telefonicznego. Już pod czwartym z kolei numerem bezskutecznie poszukiwał Höttla, przedstawiciela zagranicznego wydziału SD. Höttl był mu niezwykle potrzebny — oto przed niespełną godziną Dollmann otrzymał „gryps” od Eddy Ciano, córki Mussoliniego i żony b. faszystowskiego ministra spraw zagranicznych. Edda zwracała się z „bлагалną” prośbą o wykradzenie jej wraz z dziećmi i mężem z aresztu nałożonego na całą rodzinę przez rząd gen. Badoglio.

Tymczasem dr Höttl, przy okazji załatwiania innych spraw, przebywał już od kilku godzin w Berlinie. Dollmann zdecydował się więc deponować bezpośrednio do niego z żądaniem uzyskania na miejscu decyzji w sprawie uwolnienia rodziny Ciano.

Sprawa była jednak zbyt poważna, aby mógł o niej ostatecznie zadecydować nawet Reichsführer SS. Dopiero po dwu dniach Höttl otrzymał decyzję samego Hitlera. Zgodnie z nią Hitler zapraszał hrabinę Ciano wraz z dziećmi do Niemiec, jako honorowych gości. W zaproszeniu nie było jednak mowy o małżonku Eddy. Znajdąc jego dość dwuznaczną postawę wobec Mussoliniego w krótkich dniach obalania dyktatury Duce, Hitler wyraził się dosłownie: „Ciano może zostać tam, gdzie pieprz rośnie”. Chodziło mu tylko o zachowanie dla potomności „krewi” drogiego Benito. Te „krew” stanowiąc miały dzieci Ciano, a wnuki Mussoliniego.

Po powrocie Höttla do Rzymu Dollmann skontaktował go natychmiast z wysłannikiem Eddy Ciano. Był to ciemnowłosy Commendatore (funkcjonariusz policji w stopniu oficerskim), którego nazwisko było tak niesamowicie włoskie, że na pewno fałszywe. Równie podejrzane wydało się Höttlowi jego zachowanie. Commendatore wyprowadził go późnym wieczorem na odległe przedmieście Rzymu. W pierwszym momencie Höttl sądził, że cała historia z porwaniem Eddy jest zwykłą pułapką mającą na celu porwanie nie Eddy, a... jego. Odbezpieczył więc na wszelki wypadek pistolet,

MAREK T. EMER

CZY WYROK na hr. Ciano WYDAŁA EDDA CIANO

trzymając w kieszeni dłoń na jego rękojęści.

Jednakże zamiast spodziewanych kidnaperów, Höttl usłyszał rozsądną propozycję, która ułatwiała znacznie wykradzenie Eddy...

Do przeprowadzenia tej akcji Höttl dobrał sobie trzech pomocników. Dwaj z nich byli podwładnymi Dollmanna, dobrze znali Rzym, mówili płynnie po włosku i z wyglądu do złudzenia przypominali synów słonecznej Italii. Trzecim był oczywiście dr Gröbl. Jego

umiejętności!... fałszywe funty! tym razem miały oddać nieocenione usługi.

Edda posiadała zezwolenie na codzienny spacer z dziećmi pod opieką oficera tajnej policji. Gorzej było z samym Ciano. Obowiązywał go absolutny zakaz opuszczania domu, którego dniem i nocą strzegł silny oddział karabinierów. Tymczasem córka Mussoliniego nie chciała zgodzić się na porwanie jej bez męża. To komplikowało sprawę tym bardziej że wykradzenie hrabiego Ciano nie

było po myśli Hitlera. Höttl postanowił jednak wykraść całą rodzinę.

Höttl liczył się z faktem, że wszelkie próby uwolnienia więźniów siłą musiałyby doprowadzić do nieuniknionej strzelaniny. Do tego nie wolno było dopuścić. Za wszelką cenę należało uniknąć jakichkolwiek zdraźnień z dostatecznie już niepewnym rządem Badoglio, będącym jednak formalnie nadal w sojuszu z Niemcami.

Plan Höttla oparty na informacjach Commendatore był w gruncie rzeczy zupełnie prosty. Edda miała zostać uprowadzona samochodem podczas codziennego spaceru. Ciano natomiast powinien wsiąść do auta, które o oznaczonej godzinie zatrzyma się przed domem. Należało jeszcze tylko zapobiec otworzeniu ognia przez stojących na warcie karabinierów.

Troskę o to wziął na siebie Gröbl. Już po dwu dniach zameldował Höttlowi:

— Taryfa wynosi 1.000 funtów szterlingów za każdy nie naciśnięty język spustowy!

Zważywszy, że funty, jakkolwiek mistrzowsko podrobiane, nie przedstawiały być zwykłymi fałszyfikatami, cena była do przyjęcia.

Wieczorem tego dnia Höttl spotkał się jeszcze raz z wysłannikiem Eddy Ciano, aby zakomunikować mu dokładną godzinę przybycia po Eddy i hrabiego, co było ściśle związane z harmonogramem służby wartowniczej karabinierów. Przy pożegnaniu zaufany człowiek byłego ministra i dyktarza faszystowskiego wręczył Höttlowi skórzaną torbę. Była ona nieduża, lecz tak ciężka, że Höttlomal nie wypuścił jej z rąk.

— Hrabia Ciano bardzo prosi — powiedział Commendatore — aby pan doktor dostarczył mu ją bezpiecznie do Niemiec. Zawartość jej ma ogromne, państwowej wagi znaczenie.

Po powrocie do swego mieszkania Höttl starannie obejrzał podejrzanie ciężką w stosunku do swych rozmiarów torbę. Była ona bardzo dokładna i dwójcinnie przesurowana i zapieczetowana. Dla Höttla nie stanowiło to jednak żadnej trudności. „Sekcja F” potrafiła podrobić każdą pieczęć.

Widok jaki ujrzał po przelaminowaniu pieczęci spowodował, że stary wyga Höttl osłupiał kompletnie. Torba wypełniona była po brzegi brylantami... I to nie były jakimiś wprost fortunę. Taka to przesyłka „państwowej wagi” poleciał mu przewieźć do Niemiec były minister faszystowskiego rządu Mussoliniego...

(D. c. n.)

ZBIGNIEW NIENACKI

ZABÓJSTWO HERAKLIUSZA PRONOBISA

Powieść

ILUSTRACJE
JERZEGO NOWOSIELSKIEGO

STRESZCZENIE POPZEDNIICH ROZDZIAŁÓW

W ruinach sulejowskiego opactwa niespodziewanie zmarł H. Pronobis, sędziwy zbieracz ekslibrisów. Przyjaciele jego, poeta Nataniel i publicysta Tomasz podejrzewają, że śmierć staruszka została przez kogoś spowodowana. Dowiadują się, że Pronobis był w posiadaniu testamentu rycerza Baldaricha-Baldrzycha, o którym legenda mówi, że ukrył skarby. W dniu śmierci Pronobisa testament ten zginął. Sprawę owego testamentu zainteresowani są dwaj tajemniczy mnisi i młoda kobieta, zwana Czarną Miladą oraz jej dwóch przyjaciół, Bach i Szczurek. Znaleźiona przypadkiem karteczka prowadzi Nataniela i Tomasza na ślad zabójców Pronobisa, do starego dworu w Łękach. Ukryci na strychu Tomasz i Nataniel obserwują Bacha i Szczurka, słysząc rozmowę, z której wynika, że Czarna Milada należy do jakiejś bandy dowodzonej przez Szefa. W pewnej chwili sufit dworu zawala się i Nataniel spada no głowy buszujących w dworze złoczyńców.

Wzruszyłem ramionami. Powiedziałem smutno:

— Nie mam nic na swoją obronę. Nie ma rady, tylko kolektyw nasz winien mi dopomóc. Czuję się opuszczony, zagubiony, przychodzą mi do głowy różne dziwaczne myśli, poczynam się zastanawiać, co komu zawiniło zbieranie i kolekcjonowanie „ex librisów”. Bo przecież jeden zbiera znaczki pocztowe, inny ogryzki ołówków, jeszcze inny opakowania żyłek. Niektórzy, jak np. obecny tu Redaktor Naczelny, kolekcjonują zdjęcia podkasanych panienek, z Wiednia przywiozłem mu do kolekcji aż dwa albumy...

— „Szympan” chrząknął, „Mniszka” mierzyla go zimnym wzrokiem.

— Ja nie kolekcjonuję zdjęć podkasanych panienek — wykrztusił zdenerwowany. — Ja je potrzebowałem dla celów naukowych, piszę artykuł o moralności, o zepsuciu obyczajów.

Machnął ręką:

— A w ogóle po co o tym aż tyle mówić? Tomasz zachował się właściwie, ma poważny stosunek do zagadnień naszego pisma. Przemyslał sprawę i doszedł do wniosku, że w tym stanie psychicznym, w jakim się znajduje, nie jest zdolny podjąć się polemiki. Swe słabości wyznał szczerze przed kolektywem i poprosił o pomoc, która będzie mu dana. Polemiczny artykuł napisze Anna, a Tomasz otrzyma dwutygodniowy urlop wypoczynkowy, po którym, jeśli kolektyw okaże mu pomoc, będzie demaskował i mobilizował.

Wszyscy się rozpromienili.

— „Serce bohatera” objął mnie czule partyzanckim ramieniem:

— Jak z ciebie, Tomasz, wspaniały człowiek! Tylko tacy, jak my, potrafimy bez drobnomieszcząńskiego wstydu szczerze przyznać się do błędów.

Wszystkie się rozpromienili.

— „Serce bohatera” objął mnie czule partyzanckim ramieniem:

— Jak z ciebie, Tomasz, wspaniały człowiek! Tylko tacy, jak my, potrafimy bez drobnomieszcząńskiego wstydu szczerze przyznać się do błędów.

Wszystkie się rozpromienili.

— „Serce bohatera” objął mnie czule partyzanckim ramieniem:

— Jak z ciebie, Tomasz, wspaniały człowiek! Tylko tacy, jak my, potrafimy bez drobnomieszcząńskiego wstydu szczerze przyznać się do błędów.

Wszystkie się rozpromienili.

— „Serce bohatera” objął mnie czule partyzanckim ramieniem:

— Jak z ciebie, Tomasz, wspaniały człowiek! Tylko tacy, jak my, potrafimy bez drobnomieszcząńskiego wstydu szczerze przyznać się do błędów.

Wszystkie się rozpromienili.

— „Serce bohatera” objął mnie czule partyzanckim ramieniem:

— Jak z ciebie, Tomasz, wspaniały człowiek! Tylko tacy, jak my, potrafimy bez drobnomieszcząńskiego wstydu szczerze przyznać się do błędów.

Wszystkie się rozpromienili.

— „Serce bohatera” objął mnie czule partyzanckim ramieniem:

— Jak z ciebie, Tomasz, wspaniały człowiek! Tylko tacy, jak my, potrafimy bez drobnomieszcząńskiego wstydu szczerze przyznać się do błędów.

Wszystkie się rozpromienili.

— „Serce bohatera” objął mnie czule partyzanckim ramieniem:

— Jak z ciebie, Tomasz, wspaniały człowiek! Tylko tacy, jak my, potrafimy bez drobnomieszcząńskiego wstydu szczerze przyznać się do błędów.

Wszystkie się rozpromienili.

— „Serce bohatera” objął mnie czule partyzanckim ramieniem:

— Jak z ciebie, Tomasz, wspaniały człowiek! Tylko tacy, jak my, potrafimy bez drobnomieszcząńskiego wstydu szczerze przyznać się do błędów.

Wszystkie się rozpromienili.

— „Serce bohatera” objął mnie czule partyzanckim ramieniem:

— Jak z ciebie, Tomasz, wspaniały człowiek! Tylko tacy, jak my, potrafimy bez drobnomieszcząńskiego wstydu szczerze przyznać się do błędów.



taili oddech w piersiach. Zmarszczył brwi „Ten stary szympans” i zapytał ciepło, lecz z ukrytą pogroźką:

— Czy można wiedzieć dlaczego?

— Można — westchnąłem serdecznie. — Nie mogę wystąpić z potępieniem Pronobisa, bo nie dostrzegam w nim niebezpieczeństwa — rzekłem. — Co u licha zawiniły nam „exlibrisy”, malutkie karteczki z nawiąskiem i obrazkiem, które nakleja się na książki?

— „Ten stary szympans” zakłopotał się. I nawet nie ukrywał swego zakłopotania. Małpim gestem podrapał się pod pachą, a potem za uchem.

— No tak, lecz — powiedział be zamlaru wyjaśnienia swego „ale”. Bezradnie rozejrzał się po członkach swego Kolegium.

— „Figuranci” milczeli. Zapewne po raz pierwszy w życiu dowiedzieli się, co to są te „ex librisy” — byli to bowiem ludzie prości i nieuczeni. „Serce bohatera” uśmiechnął się półgębkiem z miną zwaną u nas „na dwoje babka wróżyła”.

I tylko „Mniszka” nabożnie wzniosła do góry kształtny arystokratyczny palec.

— Koleżanka Anna ma głos. Proszę... — odetchnął z ulgą „Szympan”.

Anna zwróciła mi w oczy fanatycznym wzrokiem opata Bernarda:

— Brak mi słów dla wyrażenia oburzenia na Tomasa, tak bardzo zabolala mnie jego odmowa. Dwa są bowiem naczelnne obowiązki dziennikarza: demaskować i mobilizować — podniosła do góry dwa palce. — Redaktor Tomasz, odkąd powrócił ze swych zagranicznych podróży, a stało się to przed rokiem, ani nie demaskuje, ani też nie mobilizuje. Czynniki eseje o starej architekturze. Stosunek Tomasa do sprawy Herakliusza Pronobisa napelnia mnie niepokojem. Dlaczego Tomasz nie rozumie niebezpieczeństwa „ex librisów”? Dlaczego nie chce demaskować?

— Nie jadę! Dalej nie jadę! — kierowca autobusu rozkładał ręce i poły wielkiego kożucha. — Niech państwo wracają do Piotrkowa. Jutro rano przejdą tędy plugi drogowe, odwalą zasy i wtedy pojedziemy.

Kiedy spróbowałem przemknąć obok niego swym małym „Opelkiem”, zaczął mnie gromić:

— A pan co? Wariat? Gdzie się pan pchasz tym gównikiem? W te zasy?

Zdecydowałem jechać naprzód. Zał mi było zmarznięte popołudnie, wierzyłem, że lekki „Opel” łatwiej przebedzie śnieg, niż „mamut” PKS-u. Jakaś babina, szczególnie okutana w wielką chustę wełnianą, jedna z niefortunnych podróżnych, poprosiła, żebym ją zabrał ze sobą.

— Co pani? Niedobrze? — grzmiał i na nią kierowca. — Ale ten nasz naród głupi, aże głupi. Jeszcze się prosi o nieszczęście...

Pojechaliśmy. I o dziwo, po pół kilometrze zasp droga wyszła ze śniegu gładka i czysta jak stół. Biegła tu wyżej od terenu i wiatr ciągle ją uprzętał.

Tymczasem zawieja stawała się coraz zacieklejsza. Była dopiero trzecia po południu, ale na dworze zapadł już zmrok. Śnieg walił gęsto, zalepiał szyby, zwił się na gładkiej drodze w grube i twarde warkoczki.

Las. Śnieg coraz gęstszy, coraz szerszymi pasmami zalegał w poprzek drogę. Ślisk wyje, koła ślizgają się nie znajdując twardego oparcia. Potem znowu gładka droga i znowu pasmo śniegu. I jeszcze jedno. I jeszcze jedno. I teraz już ciągle jak okiem sięgnąć wysokie zasy do pół maski samochodu.

Ostatecznie i nieodwołalnie uwiązłem gdzieś w samym środku lasu. Do Przekleńnika pozostało jeszcze chyba z osiem kilometrów lasami. Śnieg walił i walił z jednostajną zaciekleścią. Na dworze trwał siny półmrok.

Zgasłem silnik.

— Koniec, zacna niewiasto — odwróciłem się do babiny jadącej na tylnym siedzeniu. Wyściubiła spod chustki czerwony od mrozu nos.

— Tak, zacna niewiasto, dalej już jechać nieposob. Jeśli macie życzenie, możecie podreptać 8 kilometrów przez las, zaraz za lasem jest wioska.

Babina wygramoliła się z wozu.

— A wilków nie ma w tym lesie? — głos miała dźwięczny, miły.

Wzruszyłem ramionami.

— Tego to już ja nie wiem, zacna niewiasto.

Rozejrzała się po lesie. Niewiele zresztą mogła zobaczyć. Las stał ciemny, nieruchoma ściana, śnieg padał tak silnie, że o dzieś się kroków nie było widać. We wczesniejszej gazecie zamieszczono notatkę o napadzie wilków na wioskę, ale babina zapewne gazet nie czytuje — pomyślałem.

— Nie, nie pójde sama — rzekła stanowczo.

Przeraziłem się.

— Jakże to tak? Ja was na swoje sumienie nie wezmę, jeśli zamaznicie w samochodzie. A dopiero jutro rano nadejdą plugi. Własnym ciałem też was nie ogrzeje, zastanówcie się, proszę, zacna niewiasto.

— A może tak przestanę pan z tą „zacną niewiastą”? Przecież to najspokojniejszego może wyprowadzić z równowagi — powiedziała babina, poprawiając chustkę na głowie.

— Ewentualnie... ogrzeję własnym ciałem — mruknąłem.

— Dziękuję. Bez taski. Zbyt szybko zmieniła pan zdanie.

Speszony sięgnąłem do kieszeni po papierosa. Milady zastanawiała się chwilę, a potem rzekła tonem nie znającym sprzeciwu.

— Tu gdzieś niedaleko, jeśli się nie mylę, znajduje się opuszczony młyn. Otaczające go zabudowania zupełnie się już rozpadły, młyn również się zawalił, ale o ile pamiętam, na dole ocalała izba z piecem. Jest tam podłoga, można ją porządkować, rozpalić w piecu i w ciepłe dobiegować do rana, do czasu aż przyjdą plugi.

Propozycja wydała mi się rzeczą, choć wyszła od osoby o podejrzanym profesji. Na sekundę przemknęło mi przez głowę: a jeśli to zasadzka? Lecz odrzuciłem to natychmiast. Nawet najgenialniejszy bandyta nie mógł przewidzieć, że akurat dzisiaj zdecyduję się pojechać do Przekleńnika, że nastąpi zawieja śnieżna, że właśnie w lesie ugrzęznę w zaspach.

(d. c. n.)

- * Czy Tomasz i Nataniel odnajdą zabójców Pronobisa?
- * Jaką tajemnicę kryje testament Baldaricha?
- * Kim są dwaj „biali mnisi”, Szef, Szczurek, Bach i Czarna Milady?
- * Co się stanie w Borowie?

— Oto pytania, na które odpowiedzi przyniosą następne rozdziały drukowanej u nas powieści.

Redaguje Zespół. Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka”,
Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 98, Tel. 244-79,
Redakcja nie zamówionych rekwizytów nie zwraca.
Warunki prenumeraty: miesięczna 4 zł, kwartalnie 12 zł.
Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPIK „Ruch”,
Łódź, ul. Roosevelta 17, konto PKO — Łódź 7 — 8-579 z zaznaczeniem
„na „Odgłosy”. Druk „Prasa”, Łódź, Zwirki 17, Zam. 1052-1. IV. 58. M-4.

str 9 odgłosy

Najostrzejsze ołówki świata

Ronald Searle

Wróg pensjonarek



pensjonarkach z zakładu St. Trinian.

Straszliwe istoty! Wiecznie przyrządzają jakieś trucizny, piją wódkę, dręczą zwierzęta, potrafią nawet wysadzić w powietrze szkołę. Z zimną krwią i cynicznym uśmiechem mordują swoje nauczycielki z pensji St. Trinian...

A jednak... A jednak owe złośliwe smarkule, wbrew wszystkim potwornościom — potrafią w jakiś sposób zyskać naszą sympatię, w przeciwieństwie do swoich głupich i nadętych wychowawczyń. Tu kryje się chyba sekret popularności cyklu Searle'a, drukowanego w „Lillipucie” — który jest przecież pismem dla dorosłych.

Zakamuflowaną skrzętnie sympatię rysownika do piekielnych pensjonarek tłumaczy także w pewnej mierze inny cykl — „Strasznik dorośli”. Tu sytuacja jest odwrotna — biedne dziewczynki są sadystycznie dręczone przez dorosłych ojców i wychowawców...

Skąd się wzięło u angielskiego humorysty takie zainteresowanie tematem „dzieci i dorośli”? Trudno powiedzieć — życiorys artysty nie daje żadnych wskazówek.

Searle urodził się w Cambridge, w 1920 r. Mając lat 15 zaczyna praktykę w kancelarii adwokackiej, którą rychło porzuca — zostaje ilustratorem prowincjonalnej gazety. Jednocześnie studiuje plastykę. W okresie wojny walczy na Dalekim Wschodzie, w 1941 r. wpada do niewoli japońskiej. Po czterech latach obozu wraca do kraju z teką rysunków, które z miejsca dają mu rozgłos i wzięcie.

Niektóre odcinki cyklu „St. Trinian” publikowane były w miesięczniku „Lilliput” łącznie z humoreskami o pensjonarkach, pióra Arthura Marshalla.

J. WEYCHERT



— Możesz wyjść, Rex...



— Nafta, to mocny płyn, prawda?

HORACY SAFRIN

Światliki

Bywają krótkowidze, którzy dekolit myślą z nagą prawdą.

Rzekłem do lekarza: „Medice, cura te ipsum!” Uśmiechnął się smutno: „Czy rzeczywiście wyglądam na samobójcę?”

Znam wiersze, które raczej kwalifikują się do Izby Wyrzecznień niż na lamy czasopism literackich.

IGOR SIKIRYCKI

TUBKA



Rys. J. Skonieczny

Gdzieś raz usłyszałem
Od pewnej przekupki,
Że kremu nie sprzedaje
Gdy nie dam jej tubki.

Więc wnet pomyślałem,
Że zmusza ją UB-e
I każde codziennie
Przynosić stos tubek.

A potem te tubki
Ogląda pod lupką,
By znaleźć w nich dowód
Przeciwko tym grupkom.

Co gdzieś z zagranicy
Szmuglują krem w tubkach,
Po którym na buzi
Nie znajdzie nikt strupka.

Lecz dzięki niezwykle
Rozsądnej osobce
Już wkrótce zmienilem
Swe zdanie o tubce.

Zbierałem więc tubki
Wrzucałem do kubka,
Aż tubek tych wreszcie
Zebrała się kupka.

Dzień mijał za dzionkiem,
Szia doba za dóbką,
Sposztrzegłem, że ciasno
Już w kubku tym tubkom.

Więc wziąłem je w kupkę
I tańcząc hołubce
Prościutko do sklepu
Zaniosłem przekupce.

Tymczasem, o dziwo,
Wspomniana przekupka
Spojrzała tak na mnie,
Jak gdyby na głupka.

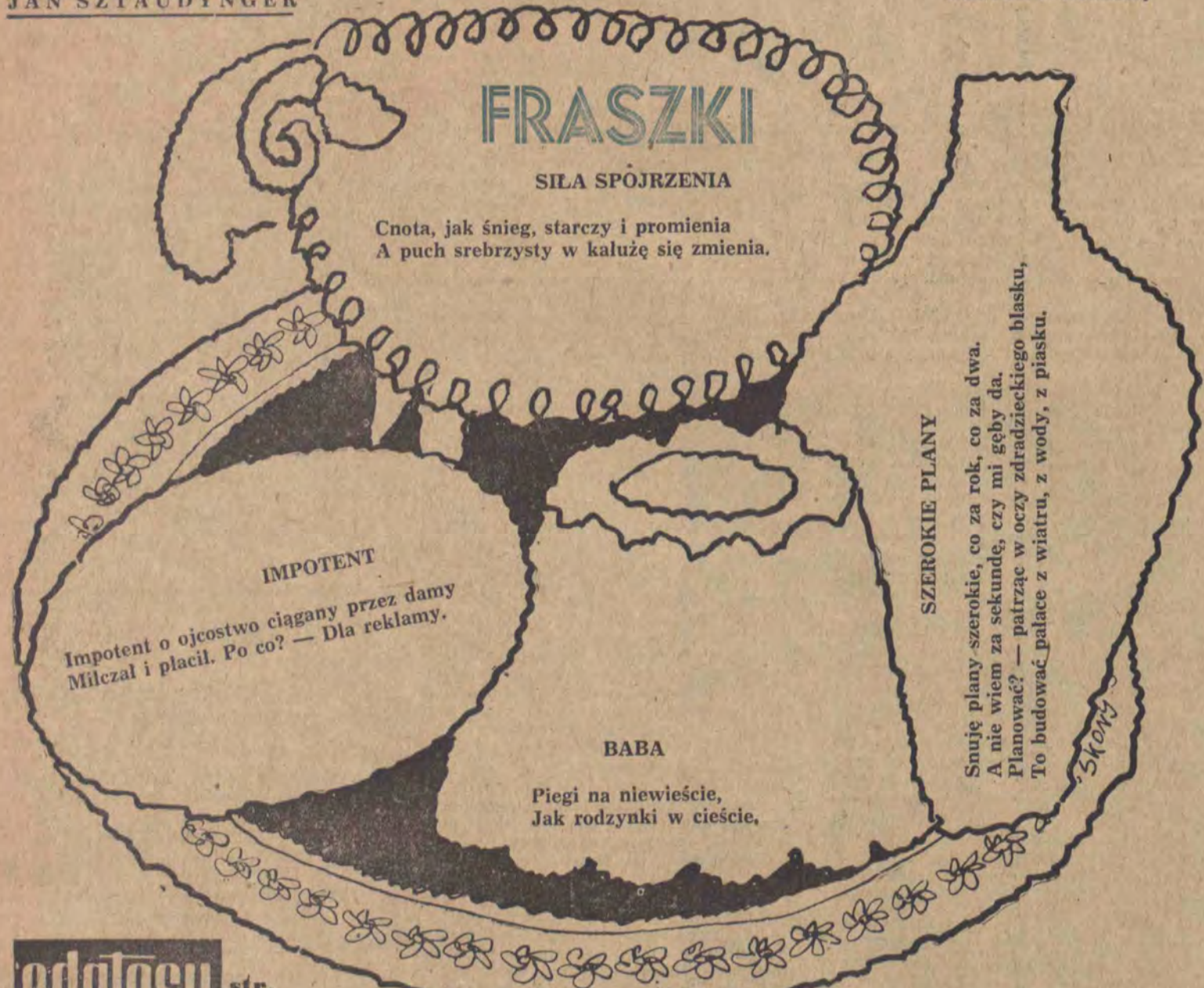
I rzekła: — Mój panie,
Wszak każdy wie bubek,
Że już nie potrzeba
Oddawać nam tubek.

Wychodząc spotkałem
Znajomych mych grupkę
I stryja, co piękna
Na sobie miał szubkę.

Więc rzekłem do niego,
Bo mądrym był kupcem:
— NIEDOBRZE, GDY NARÓD
OSZCZEDNOŚĆ MA W TUBCE.

IAN SZTAUDYNGER

Ilustrował J. Skonieczny



FRASZKI

SILA SPOJRZENIA

Cnota, jak śnieg, starczy i promienia
A puch srebrzysty w kalużę się zmienia.

IMPOTENT

Impotent o ojcostwo ciągnany przez damy
Milczał i płacił. Po co? — Dla reklamy.

BABA

Pięgi na niewieście,
Jak rodziniki w cieście.

SZEROKIE PLANY

Snuję plany szerokie, co za rok, co za dwa.
A nie wiem za sekunde, czy mi gęby da.
Planować? — patrząc w oczy zdradzieckiego blasku,
To budować palace z wiatru, z wody, z piasku.

odqtosy

str.
10



Kwiaty polskie

(Dokończenie ze str. 2)

żąda nagany służbowej — spotyka się ze zdecydowanym oporem ówczesnego sekretarza POP — Delongowej i głównego księgowego — Szyłaka. Z jakiego powodu?

Alicja Delong traktuje swą pracę w dość oryginalny sposób. Jako inwentaryzator przeprowadza z ramienia dyrekcji remanenty sklepowe. Czy jednak nie przyjemniej spędzać czas u fryzjera, w gabinecie kosmetycznym, bądź w kawiarni? A remanent? A rozliczenia? Może to zrobić personel sklepowy. Wystarczy, że Delongowa podpisze wieczorem protokół rozliczeniowy. Jakże więc żądać ukarania kierowniczkę sklepu, która tuszuje jej nierobstwo?

A Szyłak? Wszak on jako główny księgowy powinien chronić mienie społeczne. Dlaczego więc sprzeciwia się dyscyplinarnej karze?

W tym miejscu wkraczamy już w dziedzinę nieco skomplikowaną. Otóż ten zdolny fachowiec jest nieestetycznym alkoholikiem. Najbardziej charakterystycznym do niektórych współpracowników. Oto oświadczenie kierowniczkę sklepu ob. Ankudowisz, męża zaufania, skierowane do rady zakładowej.

„Niesposób przemilczeć spraw, które narzuciły na przestrzeni kilku lat mojej pracy. Chodzi o postępowanie głównego księgowego ob. Szyłaka. Występuje on w roli szantażysty. W godzinach wieczornych, gdy jestem sama, przychodzi i żąda stawiania mu wódki. Ponieważ nie mogę zostawić go samego w sklepie, ani zamknąć, bo to jest pracownik jednostki nadrzędnej i bojąc się narazić na przykrości, daję mu na „czwartkę”. Ale na tym nie koniec. Zaczęły wymagać finansowania. Tego już za wiele. Wy, jako rada zakładowa, której załoga powierzyła obronę człowieka pracy, skończcie z tym grasującym buchalterem!”

I następne oświadczenie innej kierowniczkę sklepu ob. Bukowskiej skierowane na ręce dyrektora:

„... Pracuję w sklepie I kategorii, gdzie osiągam najwyższe obroty. W mniemaniu Szyłaka dochody nie idą na korzyść przedsiębiorstwa, lecz dla mnie osobiście. Dlatego przez szereg miesięcy przychodzi ze swoim zastępcą Stefanem Kowalskim, domagając się finansowania. W ordynarny sposób proponował, abym mu przekazywała miesięcznie 500 zł. Zobowiązał mnie do stawiania wódki, bo inaczej „napuści na mnie PIH”, z którym rzekomo współpracuję. Dyrektorze! Kontroluj się nie boję, bo mam uciwione ręce, ale ta nieuczciwość pracowników dyrekcji mnie przeraża. Gorsze jest to, że przed zamknięciem sklepu przychodzi pijany i prosi, żeby przed wyjściem do Glówna (stałe miejsce zamieszkania Szyłaka) mógł przespacerować się w zapleczu. Zamiast wrócić do domu i dzieci, pilnuję jak stróż, do godz. 22, by nie spóźnił się na pociąg. Jestem nerwowo wyczerpana i proszę o przeniesienie mnie do sklepu niższej kategorii!”

Podobnie pisze inny kierownik sklepu ob. Soczulski, który m.in. stwierdza:

„Kilkakrotnie musiałem mu postawić wódkę, bo często umawiał się ze mną telefonicznie i miał coś bardzo ważnego do powiedzenia. Dyskusja zawsze schodziła do jednej sprawy — pieniędzy. Oświadczył, że musi otrzymać od niektórych kierowników premie, a będzie otaczał ich sklepy opieką i kontrolę skieruje do innych”.

Taką oto taktykę stosował księgowy w stosunku do swoich podwładnych. Jakże więc nie bronić tych, którzy pokornie podporządkowują się jego żądaniom? Ale Szyłak potrafił też bezperdonowo zwalczać tych, którzy stają mu na drodze do łatwych zysków i pijatyk.

METODA

Stare przysłowie o łowieniu ryb w mętnej wodzie jest tu zupełnie na miejscu. Czy uporządkowanie gospodarki przedsiębiorstwa było wszystkim na ręce? Nie. O wiele bardziej odpowiadał spryciarzom okres balaganu i nieustannej krzątaniny. Nie można więc dopuścić do stabilizacji. Trzeba wodę zamieścić. Niechaj na dole wrze, bulgoce, kipi, bo wtedy mniej widać, co jest na dnie. Niechaj strach ogarnie tych, którzy ośmieli się przeciwstawić. I oto Szyłak w piśmie do głównego księgowego Łódzkiego Zarządu Handlu wyraża swe wątpliwości co do pracy inwentaryzatorów. Posądza ich o koneszachtę z kierownikami sklepów.

4 grudnia ub. r. w godzinach wieczornych wyruszają z gmachu Prezydium Miejskiej Rady Narodowej zespoły kontrolerów Łódzkiego Zarządu Handlu. Zamykają 25 proc. sklepów. Zawieszają na drzwiach klódkę. Nazajutrz prowadzą całodzienną kontrolę remanentową. 14 ludzi bada każdy kwiatek, wazonik, wstążkę, sprawdza stan faktyczny ze stanem ewidencji. Efekt? Ujawniono... 80 zł nadwyżki. Oto pion „wielkich przestępstw”. W niezwykle obiektywny sposób komisja ocenia pracę inwentaryzatorów, pisząc:

„Szczegółowa analiza stanów ujętych superremanentami wykazała dokładność dokonywania remanentów, ich prawidłowość i zachowanie nawet dostatecznej dokładności”.

Czy sądzić, że była to jedyna komisja badająca stosunki w MHD — Kwiaty? Bynajmniej! Nieprzerwany potok anonimów wysyłanych do Warszawy spowodował, że Komitet Łódzki powołał dwie komisje dla dokładnego przeanalizowania sytuacji w przedsiębiorstwie. Po trzech dniach pracy i rozmowie z wszystkimi zatrudnionymi w biurze i w sklepach, komisje stwierdziły, że załoga wypowiedziała się w obronę dyr. Białowej, domagając się jednocześnie usunięcia bumelanów, rozrabiaczy i awanturników. Część zwolniono. Dziś pracują co prawda już na innych placówkach, ale nie zrezygnowali z walki. Białowa nie należy jednak do tych, którzy kapitulują przed trudnościami. Bilans 1956 roku został zamknięty poważną nadwyżką. Rok ubiegły — podobnie, mimo iż plan podwyższony został o 3 mln zł, a w Łodzi zamiast trzech prywatnych konkurentów jest już 18. Wszystkie sklepy MHD — Kwiaty wykonały

swe plany, zmniejszając w stosunku do 1955 r. ubytki o 28 proc. Plan akumulacji zostaje wykonany w 217 proc., a koszty handlowe obniżone do 92 proc. Jest to, obok MHD-Polesie — drugie przedsiębiorstwo w pionie spożywczym, które uzyskało fund. zakładowy za 1957 rok. W biuletynach Łódzkiego Zarządu Handlu wymienia się przedsiębiorstwo na pierwszym miejscu. O ile jednak wydajniejsze byłoby nasze łódzkie kwiaty, gdyby nie opisane wyżej chomiki.

Lecz ataki na dyrektora nie ustają. W dalszym ciągu płyną anonimowe listy do wszystkich instytucji i instancji. Nie brak wśród byłych pracowników takich, którzy rzekomo chorowali od 4 do 8 miesięcy, a przedsiębiorstwo za tych chorych z urojenia płaciło grube sumy. Są to zony inżynierów, architektów i kierowników przedsiębiorstw państwowych. Ulokowały się w czasowym miejscu, by wbrew staropolskiemu przysłowiu — jeść kołacz bez pracy. Są i tacy, którzy usiłowali ofiarowywać dyrektorowi łapówki, względnie dokonać większych nadużyć. Musieli odejść,

obecnie zajmują się głównie wylewaniem pomoy na uczciwego człowieka.

Nie twierdzą, że Białowa jest aniołem. Ma też swoje wady. Zraża niektórych zbyt „szorstym” językiem. Nawiasem mówiąc w wielu łódzkich fabrykach spotka się podobnych dyrektorów i, o dziwo... robotnicy wcale nie mają do nich pretensji. Nie ma na świecie aniołów, nie mogą więc nimi być dyrektorzy przedsiębiorstw, choćby nawet pracowali w tak przyjemnie pachnącej instytucji, jak MHD — Kwiaty.

Od dwóch lat płyną nieprzerwanym strumieniem listy do Komitetu Centralnego, Komitetu Łódzkiego, Fall 58 i „Trybuny Ludu”.

Od dwóch lat dziesiątki ludzi rozjeżdża na trasie Warszawa — Łódź i bada, interesuje, przynagla, monituje, wyjaśnia i prosi.

Od dwóch lat komisje gospodarze i partyjne zajęte są wyjaśnianiem jednej i tej samej sprawy. A część kwiatów polskich jak wiedza tak wiednie.

JAN ADAMOWSKI

ROZRYWKI UMYSŁOWE

Biała krzyżówka

Poziomo (prawystrzał): 1. przesłania słonecznego przy pomocy gnomonu, 5. Gatunek wina węgierskiego, 6. Miasto w Afryce, 3. Obszar, 4. Ateny, 7. który wyznaczył punkt

Malarz francuski 1827-1917, 10. Zwierzę żyjące się pod ziemią, żyjące w Afryce i Azji, bez jednej litery, 11. Miasto w CSR na płd. od Pragi, 12. Jeden z przywódców Rewolucji Francuskiej, 13. Zandarm turecki, 14. B. dyktator Argentyny, 15. Góra na Alasce-6650 m, 16. Stolica Afganistanu, 17. Ordobne obramowanie, 18. Duchowny żydowski, Pionowo (lewostrzał): 1. Stado dzikich koni, 2. Słynny fundator nagród, przyznawanych corocznie, 3. Zwierzę o nosie wyciągniętym w niewielką trąbę, żyjące w Am. Płd., 4. Gaz kopalniany, 5. Niepóźniej, 6. Dom zajezdny, 7. Rodzaj mięsa, wysyłanego na eksport z Polski, 8. Gwiazdozbiór, 9. Rzeka w Europie, 10. Miasto w Indiach nad rzeką Tapi, 11. Machina oblężnicza, 12. Gatunek małpy, 13. Dzikie wieprz, 14. Przrzeczenie, słowo honoru, 15. Dżwig, 16. Miasto w Syjamie, 17. Stolica Nigerii, 18. Hałas, harmider.

Nadesłał „Biału”
Alojzy Kawczyński



Anagram

Z liter, które wchodzi w skład nazwy wyspy, należy ułożyć tytuł utworu poetyckiego.

Kto był autorem utworu, a kto — tłumaczem na język polski?



KSIĄŻKI dla naszego czytelnika

130 Poetów Radzieckich

czywiście nie są to wszyscy poeci radzieccy. Jeżeli w Polsce, kraju liczebnie sześciokrotnie mniejszym, jest ich — jak obliczają niektórzy — około dziesięciu tysięcy, to co dopiero mówić o liczbie poetów w „narodzie stu narodów”. Ale żart na stronę. Mowa tu o antologii, która nosi podtytuł „Wybór poezji narodów radzieckich”. Zawiera ona utwory stu trzydziestu poetów współczesnych, co nie znaczy wcale, że koniecznie jeszcze żyjących, bo także przedrewolucyjnych, w dotychczasowych antologiach tego rodzaju rzadko lub zupełnie nie reprezentowanych. Jakich? Ukraińskich, białoruskich, litewskich, lotewskich, żydowskich, gruzińskich, ormiańskich, awarskich, azerbejdżańskich (nie azerbajdżańskich, bo to rusycyzm!), kazachskich, tadżyckich i uzbekich. I to takich przeważnie, których nie spotykaliśmy w dotychczasowych antologiach i wyborach współczesnej poezji radzieckiej.

Jeżeli chodzi o poezję rosyjską, to dwa główne aspekty wyróżniają ją od antologii. Pierwszy aspekt, to szereg pomijanych dotąd nazwisk reprezentowanych dość pokaźną ilością utworów, a więc Anna Achmatowa, Mikołaj Agniwew, Osip Mandelsztam, Iwan Bunin, Maryna Cwietajewa, Mikołaj Klujew, Władysław Iwanow, Piotr Orleszin i kilku in-

nych, choć bynajmniej nie są to jeszcze wszyscy przywróceniu ostatnich laty do życia. Drugi aspekt, to proporcja utworów, przez które reprezentowani są autorzy dotychczas pozostający niezastępowani w cieniu. Tak więc tacy wybitni poeci, jak Borys Pasternak, Walery Eriusow, Anna Achmatowa, Maryna Cwietajewa, Osip Mandelsztam i Sergiusz Jesienin reprezentowani są wreszcie ilością utworów godną ich niezwykłego talentu. Przemówiło tu także wielu poetów z za grobu, jak choćby tacy głośni poeci żydowscy, co Perec Markisz i Icek Fefer.

Poważnym mankamentem tej pożytecznej i pomyślnie odkrywanej antologii jest jednak brak jakichkolwiek not życiorysowych i bibliograficznych przy poszczególnych nazwiskach poetów. Na pochwałę natomiast zasługuje piękna szata graficzna i płócienna, estetyczna okładka, w jaką wyposażyła tę antologię Państwowy Instytut Wydawniczy. Tłumaczeń poetów radzieckich dokonał najwybitniejszy poeci polscy z Tuwimem, Słonimskim, Broniewskim, Przybyszem, Jastrunem i Ważykiem na czele. Spośród poetów łódzkich widnieją wśród tłumaczy Tadeusz Chrościelewski i Marian Piecha.

ONUFRY GAYDA



Dola człowieka

Od czasu głośnej w swoim czasie batalii Jana Kotta o przewyższenie conradowskiej koncepcji tragizmu, gdzie niemało było i o Malraux, nastąpiła wokół autora „Czasów pogardy” znowa milczenia, przerywana od czasu do czasu mocnym epitetem, który dyskredytować miał nie tylko człowieka, ale przede wszystkim jego dzieło. Malraux nie miał się w sztywnych ramach przyjętych dogmatów. Był uczestnik wojny w Hiszpanii, dowódca eskadry lotniczej armii republikańskiej, w okresie II wojny officer gen. de Gaulle’a, nie pasował do schematu „postępowy pisarz”. Nie pora i miejsce po temu, żeby wyłuszczać powody anatemy, jaka dotknęła jednego z najwybitniejszych pisarzy XX wieku. Fakt pozostaje faktem, że dopiero teraz czytelnik przez małe „c” dzięki „Czytelnikowi” przez duże C i przekładowi Adama Ważyka dostaje do ręki powieść, znaną starszemu pokoleniu, choćby z przedwojennego wydania „Rolu”.

Na marginesie wspomnieć warto że André Malraux był poważnym kontrkandydatem do nagrody Nobla, która szwedzka akademія w roku ubiegłym wyróżniła dzieło A. Camusa. Wyróżnienie właśnie Camusa a nie Malraux dało poważnej części literackiej prasy francuskiej asumpt do krytycznego osądu jury, która zdecydowanie uważa, że nagroda należała się autorowi „Dola człowieczej”. Spory

literackie prasy francuskiej wypada jednak zostawić, choć argumenty, jakie są przytaczane, warte są szerszego potraktowania. „Dola człowiecza” nie jest w dobru pisarza pierwsza i nie jest to ostatnia z jego powieści. Przy okazji może warto by wydać „Czas pogardy”, „Drogę królewską”, może „Zdobyców” i chyba „Nadzieję”. Wydano „Komu bliżej dzwoni Hemingwaya, I tu i tam wojna w Hiszpanii, widziana oczyma zdecydowanie odmiennych pisarzy o skryształowanym obliczu artystycznym.

Powieść Malraux napisana w latach trzydziestych to pasjonująca ce studium chińskiej rewolucji z 1927 roku, głęboka analiza przyczyn porażki chińskich komunistów, których zwycięski Czang-kajszek z chwilą zgrozienia wspólnie z komunistami armii cesarskich, usuwa i likwiduje, zagarniając zdecydowanie w swoje ręce kierownictwo Kuomintangu. Napisałem, że powieść jest studium rewolucji, słusznej będzie, jeśli powiem, że jest to przede wszystkim powieść o ludziach, którzy dzieło rewolucji współtworzyli z całą świadomością celu, jak i tych wciągniętych w burzliwy nurt rewolucyjnych wydarzeń siłą żywiołowego rozpedu. Żywił rewolucji porwa nawet tych szukających schronienia przed natłokiem wydarzeń w wąskim kręgu rodzinnego pokoju. Ludzi popycha do opowiedzenia się po jednej lub drugiej stronie barykady samotność ludzkiej egzystencji. Człowiek dąży do wyrwania się z obezwładniającego ludzkiego działania kręgu samotno-

ści. Szuka on na różnych drogach potwierdzenia swego człowieczeństwa, swej „doli człowieczej”. Dlatego tak różnorodne motywy kierują go na drogę rewolucji. Jedni w rewolucji odnajdują swoją godność i swóje człowieczeństwo, inni mniej odporni psychicznie na metody walki rewolucyjnej wpadają w sidła terroryzmu i samounicestwienia. Jakże odmiennie rysuje się postać Ozena, pokładającego bezgraniczną wiarę w metodach indywidualnego terrorku, intelektualisty Kyo i rosyjskiego rewolucjonisty Kotowa, dogmatycznie trzymającego się wytycznych Kominternu. To samo powiedziec można o ludziach z drugiej strony barykady. Nad każdym z nich pochyla się nie tylko jako nad przeciwnikiem, ale w każdym dostrzega przede wszystkim człowieka. Rowieś Malraux, szczególnie w scenach masowych egzekucji, ma w sobie coś z kolorysty hiszpańskich płócien Goyi. Powieść mówiąc metaforycznie ocieka krwią, a mimo to jest powieścią optymistyczną. Uświadamia, jak bogate złożą tkwią w ludziach, obok których przechodzimy obojętni.

P.S. Nie nadaje się do poduszki i jako lektura w pociągu. Nie wyjdzie. Nie ten kaliber. Książka z gatunku „ciężkich”. Ale takie tylko w naszej pamięci się liczą.

MATEUSZ DZIEWISZ

str.

11



mieSZanka FILMOWA



W kwietniu na ekranach

Filmowa mieszanica, którą CWF anonsuje na kwiecień — przedstawia się interesująco — 12 nowych filmów i każdy z nich wart obejrzenia. Nieraz będziemy mieli kłopot z wyborem!

Na pierwszym miejscu wymieniam film Wandy Jakubowskiej pt. „Król Maciś I”, na który z utęsknieniem czekają nasze polechy, ludzie — przyznajmy się — my starsi. Poza tym ujrzymy filmy produkcyjne włoskiej, brazylijskiej, hiszpańskiej, francuskiej, czeskiej i zachodniemieckiej.

Reżyser F. Fellini (twórca znakomitej „La Strada”) zaprezentuje nam film pt. „Niebieski ptak”, w którym ujrzymy m. in. niezapomnianą Gelsominę (Giulietta Masina). I drugi film włoskiej produkcji — to „Złoto Neapolu” (reż. Vittorio de Sica) w doskonałej obsadzie (Silvana Magnani, Sophia Loren, Toto, de Sica).

Film węgierski reprezentuje „Księżna Gerolstein” — ponocny film o charakterze operetkowym (oparty na muzyce Offenbacha), którego aktorzy łączą talent aktorski z wokalitym. Zresztą zobaczymy, posłuchamy, ocenimy.

Nie wymieniając wszystkich tytułów, wspomnijmy jeszcze o niektórych. A więc „O’Cangaceiro” („Bandyta”) — film produkcji brazylijskiej, nagrodzony w Cannes w 1933 r. Jest to surowa opowieść o ludziach wylętych spod prawa.

J.

Tak się złożyło, że ostatnio przestałem korzystać ze specjalnych pokazów — i tych warszawskich i tych łódzkich, a zacząłem odwiedzać kina. Zarówno te zeroekranowe, jak i małe, na przedmieściach, gdzie film dociera często w kilka miesięcy po premierze na ulicy Piotrkowskiej. Widziałem wiele rzeczy zabawnych, smutnych — i przerażających. A niektóre zdarzenia były po prostu niezrozumiałe.

Wieczór, mokra zawieja, błoto. Przed czwartkowym czyba kinem „Pokój” na ul. Kazimierza zatrzymuje się piękny „Opel-Kapi-

Wojskowe kino garnizonowe na ulicy Tuwima. Idzie włoska wersja „Plaszcz” — sala nie jest wypełniona nawet w jednej trzeciej. Siedzę w przedostatnim rzędzie krzesel, za mną, nieco z boku, są jeszcze tylko dwie osoby, mężczyzna i kobieta. Mija dobre pół godziny — oni się ciągle całują — trudno tego nie usłyszeć. Wreszcie oni się staje agresywniejszy, ona go mityguje: — Daj spokój, usłysz... On: — Psiakrew, myślałem, że będzie mniej ludzi... Po chwili, mniej więcej w połowie filmu, wychodzą z kina.

Kino „Wisła” sprzedaje bilety

Wypad w „terenach dziewicze”

tan”, model 1956. Wóz prywatny, z literą „H”. Wysiadła elegancki facet w futrze, kieruje się prosto do kasy. Hall kina pusty, na taką pogodę nie chce się wylazić nawet łobuzom, których zawsze tu było pełno. Jegomość kupuje bilet, wraca do wozu. Teraz z samochodu wychodzi ładna pani, też w futrze, na szpilkowych obcasach. Do rozpoczęcia seansu brak tylko paru minut. Facet dokładnie zamyka wóz, szykowna para wchodzi do kina na radziecki film „Pod chmurami”.

na wszystkie seanse. Wyświetlany jest film „Ewa chce spać”, ten sam, który recenzent tygodnika literackiego „Odra” — „stanowczo odradza” publiczności. Chcę o godzinie 12 kupić bilet na seans o 20. Nie ma, wyprzedane. Następnego dnia przychodzę dwie godziny wcześniej. Na 20? Nie, nie ma, na wszystkie seanse bilety wyprzedane. Zwracam się do „kownika” — ma bilety, po 50 złotych sztuka. Widocznie w Łodzi bardzo mało ludzi czyta „Odrę”.

„Swit” — obskurne kino na kompletnie nie oświetlonym Rynku Bałuckim. Sala pełna. Smutni ludzie o zmęczonych twarzach. Jakaś kobieta ogrzewa zmarznięte ręce przy glinianym piecu obok ekranu. Ma twarz podobną do kilkunastu innych kobiet na tej sali. Obok mnie siedzi zakutana w wielką chustę staruszka — bezustannie porusza wargami, coś przesuwając w dłoniach. Przysiągnę bym, że to różaniec, Gruźlica, chudy mężczyzna — w nieokreślonym wieku żuje pajdę chleba. Gaśnie światło, jeszcze tylko kronika i — zaczyna się film. „Urlop w Wenecji”. Przez ekran przesuwają się barwne obrazy bajkowej architektury weneckiej, wytworna pani rozdaje dolarowe napiwki, smukła dziewczyna opala się w południowym słońcu, zakochane pary flirtują w lekkich gondolach, złościły szampan musuje w kryształowych kieliszkach... Co myśli w tej chwili zziębnięta kobieta w dusznej sali kina „Swit”?

Dalbym wiele, by ten felieton mógł wyglądać inaczej. Na przykład — gdyby to można było posłużyć się statystyką! Ale nie tą najbardziej oficjalną z „Rocznika” — ile w ciągu roku sprzedano biletów do kina, lecz taką nieco szczegółowszą — dla kogo kreśli się filmy, kto te bilety kupował? Młodzież? Starcy? Sklepikarze? Wojskowi? I jakie filmy są najbardziej „chodliwe”? Komedia? Romanse? Wojenne? Mordobicia? Nie znajdziemy tego w żadnym roczniku statystycznym. Można tylko kleić koślawy obraz z luźnych migawkowych spostrzeżeń. Piszący o filmie, który wyrusza w „terenach dziewicze” — musi się obejść bez mapy

JANUSZ WEYCHERT

Dwa wyjątkowo krótkie scenariusze:

Pszczola

Pewna pszczoła Siadła — przypadkiem oczywiście — na moim liście. — To dziwne — pomyślała Spoglądając na adres — że i ludzie mieszkają w ulach także.

ELŻBIETA ZECHENTER



Scena z filmu pt. „French Cancan”, reżyserii Jean Renoira. Ten film (w którym m. in. występują Maria Felix i Jean Gabin) — ma się pojawić w kwietniu na ekranach łódzkich kin.

Na tropach gwiazd i gwiazdeczek



Redakcja „Odgłosów” zaprosiła do współpracy w „Mieszance filmowej” p. Anatola Kobylńskiego, kierownika Samodzielnej Sekcji Angażowania Aktorów w Zespole Aktorów Filmowych. „Łowca nowych twarzy” zebrał ze swej praktyki szereg ciekawych wspomnień.

Moje wspomnienia rozpoczęły się od końca tzn. od spraw najbardziej bliższych i aktualnych. Zwiększające się ostatnio w naszych filmach zapotrzebowanie na ładne dziewczęta i wzrastające pod tym względem wymagania reżyserów, którzy zwracają się do mnie ze swymi kłopotami obsadowymi, stawiają przede mną coraz trudniejsze zadania. Nie, nie dlatego wcale, że w Polsce brak pięknych dziewcząt! Rzecz raczej w tym, że czasem trudno jest znaleźć odpowiedni typ urody, albo namówić do współpracy „odkrytą gwiazdę” (no, ale to ostatnie raczej zdarza się rzadko). Trudności te skłoniły mnie nawet do zorganizowania na łamach tygodnika „Przekrój”

konkursu pod hasłem „Szukamy młodych talentów”. Konkursu jeszcze nie został całkowicie rozstrzygnięty, ale już dziś mogę zdradzić, że przyniósł ciekawe rezultaty i po wynikach próbnych zdjęć będziemy i w „Odgłosach” reprodukowali ciekawsze twarze. Zresztą nie tylko ze wspomnianego konkursu. Postaramy się o stały cykl fotosów z serii „nieznanych jeszcze, ale obiecujących talentów filmowych”.

Bardzo uważnie mam zamiar śledzić przebieg odbywających się właśnie w Polsce we wszystkich miastach wojewódzkich konkursów piękności związanych z wyborem „Miss Polonii” na rok 1958. Znamy już wyniki wyborów „Miss” Katowic i Warszawy. Jesteśmy w przededniu wyborów najpiękniejszej łodzianki. Trzeba stwierdzić, że konkursy te dostarczają ciekawych materiałów i dlatego biorę w nich wszystkich osobisty udział (oczywiście nie w charakterze kandydata do tytułu) nawiązując od razu kontakty z niektórymi kandydatkami. Dostępnie interesując skończyły się moje obserwacje wyborów „Miss Katowic”. Po dokładnym obejrzeniu wszystkich defilujących na estradzie kandydatek, zacząłem się trochę rozglądać po widowni i zauważyłem na prawej trybunie w pierwszym rzędzie młodą blondynkę, której uroda i sposób reagowania zwróciły moją uwagę. Zrobione na prędce zdjęcie z profilu (zamieszczone obok) może niezupełnie oddaje walory tej urody, ale mogę zapewnić naszych Czytelników, że gdyby p. Monika H. zechciała kandydować, zdobyłaby prawdopodobnie tytuł „Miss Katowic”, a w każdym razie ma największe szanse z wszystkich wyróżnionych i nie wyróżnionych katowiczank na zagranie w filmie.

Na marginesie dotychczasowego przeglądu urody kobiecej w Katowicach i w Warszawie mogę stwierdzić, że impreza ta jest ciągle u nas mało popularna i dlatego bardziej liczę na własne przypadkowe „łowcy” niż na zgłaszające się dobrowolnie kandydatki do tytułu „Miss”. Za tydzień powrócę do moich wcześniejszych wspomnień i przygód z „łowców na talenty filmowe”.

ANATOL KOBYLŃSKI

TEATRZYK KINOFIKCJI

Rok 1
NR VI

EDWARD ETLER

Z cyklu „Kariery filmowe” (2)

Kludwia i Drezyna

— Czy nie uważasz, Kludwia — powiedziała Drezyna — że kino jest najpiękniejszą rzeczą, jaką wymyślił człowiek? — Nie wątpię, Drezyno — odpowiedziała Kludwia. Siostry zgadzały się z sobą, a miały do tego oczywiście, święte, niezaprzeczalne prawo. Albowiem zarówno Kludwia jak i Drezyna kinu wyszły naprzeciw, ze swoimi licznymi powabami i urokami. Dwojaczki — Kludwia i Drezyna, związane miały z kinem najistotniejsze chwile swojego życia.

„Pod samowarem, siedzi moja Masza, i jak herbata, tak naciąga mnie...” „Śpiewała Drezyna w filmie Raptulenkowa. Jej kuplet podbił cały świat i pół Ameryki. Terkotaty aparaty kinematograficzne wytworzył B-ci Pathe, Wdzięki Drezyny i niemy tembr jej dyskantów (zanotowane na 300 km celuloidu) wyruszyły na podbój Hondurasu. Były to bowiem czasy wzmoczonego imperializmu, a przedsiębiorcza kinematografia —



Fot. Eugeniusz Kudaj

w trosce o rynki zbytu — nie wahała się przed niczym. Obrazy kinematograficzne pomysłane były w ten sposób, iż epatowały zarówno Europejczyka, jak i tubylców z nad Missisipi.

Drezyna była niezastąpiona. Dwoiła się, troiła i dzieliła na czworo. Ież to razy występowała jednocześnie w Honolulu, San Francisco i stolicy Peru? Aż pewnego dnia zachorowała na ospę (która trzebiła wówczas kinematografię), i zdawać się mogło, że poza rolę szwajcarskiego sera — żadnej innej kreować już nie będzie mogła. Wówczas przypomniało sobie o Kludwi, żyjącej dotąd w cieniu uzdolnionej siostry.

(d. c. n.)

Cyrk

makabryczny

Największą atrakcją programu był pokaz magików. Po przedstawieniu ojciec wyjaśniał matce, na czym polegała „ta lipa”.

Natwony synek, zachwycony łatwością pokonywania materii — po przyjęściu do domu — zjadł zyletkę. Naciął się.

ANDRZEJ KOSTENKO



Matador
BLUE BLADE